Cena 7 zł

ODRA

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

Rok II | Katowice, Wrocław, Szczecin, 7. lipca 1946 r. | Nr. 21 (32)

Urząd Generalny Akcji Odra Biblioteka

0201

Wilhelm Szewczyk

Propaganda sentymentalizmu

WINA JEST POJĘCIEM WZGLĘDNYM

Jednen z dziennikarzy amerykańskich, przebywających na terenie Niemiec, przetelegrafował do swojej redakcji w Nowym Jorku z okazji święta pokoju i rocznicy powstania nowego porządku politycznego w Niemczech to jedno krótkie zdanie:

— To był straszny rok.

W istocie, ten rok rządów Sprzymierzonych w Niemczech był straszny i wymagał niemniejszych a o ile bardziej złożonych wysiłków niż prowadzenie wojny. Każde pociągnięcie, każde najmniejsze usiłowanie uzdrowienia duszy niemieckiej, wszystkie koncepcje dotyczące przyszłości politycznej i gospodarczej Niemiec — bazowały na gruncie niepewnym, niezbadanym, zatrutym. Do jakiego stopnia teren ten był zatruty, okazuje się dopiero dzisiaj. („Przesiąknięcie młodzieży niemieckiej doktryną hitlerowską dalekie jest od powierzchowności...“ w „New York Herald Tribune“ z 14.5. i podobnie w dwa

Berlin kiedyś oglądał ogromne manifestacje komunistyczne, o ileż więcej szczere i spontaniczne od dzisiejszych.

dni później „Izwiestia“). Do tego przyłączyły się właściwe dla czasów powojennych trudności techniczne, obiektywne. Niewątpliwie jednak trudności typu subiektywnego, światopoglądowe i uczuciowe, były największe i wciąż jeszcze stanowią główną przeszkodę do uregulowania stosunków w Niemczech. Hasła demokracji, tak jak je odczytujemy z łamów prasy niemieckiej, albo służą jako zasłony dymne dla sprzecznych z jej duchem poglądów i poczynań albo też wyznawane są przez nielicznych tylko, nie znajdując szczerego oddźwięku w masach.

Od razu pierwszym skomplikowanym pytaniem, jakie zadano Niemcom i nad jakim nie mogli przejść do porządku dnia, było uświadomienie sobie popełnionej winy. Znamy trzy różne poglądy na tę sprawę. Że też w ogóle mogła powstać taka trójtorowość poglądów na fakty oczywiste, udokumentowane nie jeden raz! Ziemia z całą brutalnością odsłoniła przecież groby milionów pomordowanych a proces norymberski i proces Francka w Pradze jasno ukazały, zbrodnicze szlaki hitlerowskiej myśli politycznej. Dowodów, zdawałoby się, jest na tyle, by móc śmiało obciążyć winami cały naród niemiecki. Niemcy też nie usiłują nawet zakwestionować prawdziwości przedstawionych im dowodów, tłumaczą się raczej nieświadomością a najchętniej omijają to zagadnienie. A pojęcie winy wygląda u nich tak:

Pogląd pierwszy, to pogląd wypowiedziany przez pastora Niemoellera w Erlangen na wiosnę roku bieżącego. „Wszyscy Niemcy są winni, trzeba się kajać i bić w piersi, by pokorą i pracą zasłużyć na nowe życie“ — oto słowa Niemoellera. Pogląd to niepopularny, po wypowiedzeniu go nastąpiły słynne awantury studenckie przeciwko mówcy. Zwolenników poglądu Niemoellera nazywa się w Niemczech sekciarzami, w Berlinie mówi się o nich żartobliwie „die Superbaptisten“. Tak to człowiek, który miał odwagę powiedzieć narodowi swojemu gorzką prawdę w oczy, uznany został za maniaka. I społeczeństwo niemieckie nie widzi w tym nic dziwnego.

Pogląd drugi nazwijmy poglądem Schumachera, bo wypowiedział go w grudniu roku ubiegłego na zebraniu publicznym w Hannoverze Kurt Schumacher, znany polityk socjaldemokratyczny w zachodniopółnocnych Niemczech. „To garstka polityków jest winna, to władze partyj odpowiadają głową i duszą za popełnione zbrodnie. Naród niemiecki, terroryzowany przez hitlerowskie bestie, winien jest o tyle tylko, o ile powstrzymał się od głosnych protestów przeciwko zbrodni. Przeważnie jednak o niej nie wiedział, a zresztą... idt.“. Oto słowa Schumachera. Stąd już jest maleńki krok tylko do samouwielbienia i do wykazania, jak bardzo cierpieli Niemcy w Trzeciej Rzeszy. Ten pogląd wyznaje większość Niemców. Jest on wygodny, bo można w zależności od okoliczności powiększać lub zmniejszać liczbę winnych, określać ją personalnie lub symbolicznie.

Wreszcie trzeci pogląd, powiedzmy pogląd Pohla (od pisarza tego nazwiska), stwierdza: „My nie jesteśmy winni, my byliśmy uciśnieni, my naród — chłopi, robotnicy i mieszczanie (Bürger). Cierpienie nasze to odrębna karta w dziejach minionej wojny; o nim niestety mówi się za mało choć ono jest przecież początkiem nowego bytowania Niemców w kręgu demokratycznych nacyj świata.“ Pohl wypowiedział to zdanie trzy miesiące temu na zebraniu Kulturbundów Berlinie. Dodajmy, że jest to ten sam Pohl, który niedawno w Agnieszkowie pod Jelenią Górą żegnał zmarłego Gerharda Haptmanna w imieniu niemieckich pisarzy i pracowników kultury mową pogrzebową, akcentując wyraźnie i demonstracyjnie związki Hauptmanna ze Śląskiem i zasługi jego dla Śląska.

Trzy poglądy a niema rozbicia, ot naród. Trzy poglądy i jeden zamiar, nieujawniony jeszcze zupełnie ale bliski realizacji. „Skończyć z wytykaniem winy, wszyscy jesteście winni, skoro nie umieliście powstrzymać od szaleństwa garstkę zbirów. Mamy prawo żądać, by przez ustawiczne określanie naszej winy nie przysłoniło się naszego cierpienia, i nie zapomniało się o niemieckim oporze, choćby on tylko był natury psychicznej. W warunkach niemieckich i to było już wiele.“ To także są słowa Pohla (przez radio berlińskie 18 kwietnia br.).

OSZUSTWA MESJANISTYCZNE

I tak dochodzi już do tego, że cierpienie reklamuje się jako cechę niemiecką. Źle jest, jeśli w te brednie wierzą Niemcy, — a wierzą chętnie i żarliwie. Gorzej, jeśli oszustwo to zaczyna być tolerowane przez niektóre czynniki po stronie Aliantów, jeżeli znajduje możliwości rozprzestrzeniania się z łamów prasy zachodnioeuropejskiej i anglosaskiej. Powstają ośrodki dyspozycyjne stworzonego dla doraźnych politycznych potrzeb mesjanizmu niemieckiego. „Naród niemiecki cierpiał także a cierpiał po to, by innym narodom otworzyła się droga do wolności.“ Oto

Ale potem pokazały się na ulicach miasta brunatne bojówki a wreszcie zamknięto komunistów w koncentracyjnych obozach.

głos jednego takiego ośrodka spod znaku „Berliner Zeitung“. Nasi więźniowie cierpieli nie tylko dla Niemców, lecz dla wszystkich narodów. Myśmy pierwsi poznali gorzki smak obozów koncentracyjnych, kiedy inne narody kąpały się jeszcze w słońcu wolności“. Oto głos drugiego ośrodka spod znaku „Der Morgen“.

Codziennie prawie napotykamy w prasie niemieckiej podobne wypowiedzi świadczące o powstawaniu prądu, który umiejętnie zasłoni problem winy, świecąc w oczy mesjanistycznym oszustwem. Przy tym „cierpienie“ niemieckie szufladkuje się precyzyjnie i uczenie, jakby chodziło o określenie i miejsce zbioru motyli. Jest cierpienie młodzieży, która „żyła z opaską na oczach“. Jest tragedia tych, „co świadomie zbłądzili“. Jest cierpienie „gorących patriotów, którzy na wszystko musieli patrzeć a niczemu nie mogli przeciwdziałać“. Jest koszmar więźniów Niemców (z których nota bene większość dostąpiła zaszczytu capo, ale tego jakoś w ogóle się w Niemczech nie porusza). Jest „boleść samotnych matek i żon“, jest „smutek krajobrazu, zniszczonych miast“.

Perspektywa Odry

Nasycenie Ziem Odzyskanych polskimi wartościami kulturalnymi wymaga nie tylko przeszczepienia na zachód pisarzy i artystów ale również otoczenia ich efektywną pomocą materialną. Jeśli sposób udzielania tej pomocy posiada formę znakomitego wydarzenia kulturalnego, tym lepiej. Do takich sposobów należą m. in. nagrody literackie.

Woła się o uwzględnienie bogatej tematyki Ziem Odzyskanych w dziełach pisarzy i artystów. Stanie się to niewątpliwie rychlej, jeśli ustanowione zostaną nagrody literackie (i sztuk plastycznych), honorujące moralnie i materialnie osiągnięcia w tych dziedzinach.

Nagrodę literacką ustanowić winno miasto Katowice, Wrocław, Szczecin, Gdańsk i Olsztyn. Nagrody te powinny być przyznawane za dzieła przetwarzające artystycznie obraz i sprawy odzyskanych regionów. Zasadę tę uważamy za kardynalną przy wyborze kandydata na nagrodę, gdyż w ten jedynie sposób zapełni się lukę tematyczną w literaturze polskiej. Niezależnie od tego nagradzani winni być pisarze, których żywot związany jest z wymienionymi regionami, choćby dzieła ich były tematycznie od nich dalekie. Inna rzecz, że jak dotychczas, wszyscy pisarze, którzy życie swoje spletli z Ziemiami Odzyskanymi, splatali z nimi również i swoje dzieła. Tak to jeszcze raz potwierdza się prawda, że ziemia jest dla artysty nakazem.

Katowice w tych dniach ustanowiły nagrodę literacką, w wysokości 50.000 zł., przyznawaną corocznie za dzieło związane tematycznie ze Śląskiem. (Warunki ustanowiono wprawdzie typowo „konkursowe“, ale z pewnością po rozmowach z ZZLP ulegnie to zmianie). Dziś pisarze większe mają obowiązki w stosunku do Śląska i Ziem Odzyskanych. Mają one charakter artystyczny i społeczny zarazem. Stworzenie nagród literackich dla nich jest tym więcej uzasadnione.

Wrocław potrzebuje gwałtownie artystycznej książki o sobie. Szczecinowi marzą się wiersze polskie i proza polska, zapamiętująca po raz pierwszy jego dawny i obecny kształt.

Uważamy te sprawy za tak ważne, że nie widzimy nawet potrzeby dyskutowania nad nimi. I o tym niech wiedzą wojewodowie i prezydenci w Katowicach, Wrocławiu, czy Szczecinie.

Miasto Morąg w b. Prusach Wschodnich

Dni 84/052

BIBLIOTEKA

Patrzcie no, nie minęły nawet trzy pacierze a dowiedzieliśmy się, jak to nieszczęśliwy naród niemiecki przeszedł wszystkie stopnie i rodzaje cierpienia. „Jest wreszcie cierpienie dnia dzisiejszego — głód, bezdomność, poniżenie, wstyd za zbrodniczych wodzów (inna rzecz, że to pojawia się rzadko i tylko u ludzi z kręgu Niemoellera — dop. nasze), utrata ziem nad Odrą."

TRZY RAZY NIE

Określiwszy tak wiarę i przedstawiwszy tak własne cierpienie — ma się już światopogląd. Ustalił się on nie wbrew lecz za zgodą okupantów Rzeszy. Nie przeciwdziałano temu, bo skoro gra się na czterech fortepianach, konieczne są odchylenia od melodii. Cztery różne programy polityczne, gospodarcze i kulturalne w odniesieniu do Niemiec ośmieliły Niemców do wytworzenia własnego, piątego i nim jest właśnie nakreślony nowy światopogląd niemiecki, którego podstawę stanowi takie właśnie pojmowanie winy i takie pojmowanie cierpienia. Jeśli się zdobywa legitymację cierpiącego, bohatera demokracji lub ofiary niecnej działalności Hitlera, zyskuje się pewne prawa, których w imię humanitaryzmu nie można negować. A przecież zarówno Rosja jak i Anglia z Ameryką toczyły tę wojnę pod znakiem zwycięstwa wolnego człowieka nad bestią, pod znakiem humanizmu i humanitaryzmu.

Powstaje gorączka odbudowy. Aufbaufieber! Młotki i kielnie na front! Kobiety odłóżcie zapaski a ubierzcie się w murarskie spodnie! Pięknym jest człowiek, który pracuje nad odbudową swego miasta! Uczcie się dzieci, bo to dla Niemiec!— Oto hasła rozlepiane na ulicach miast. Do rymu i z rysunkiem. Przemysł i handel? Proszę: Na Targach lipskich wystawiało 8000 firm. Ze znanych, służących do niedawna militaryzmowi niemieckiemu, pokazały się merseburskie Buna-Werke z buną oraz I. G. Farbenindustrie, istniejąca sobie spokojnie nadal pod starą nazwą w Bitterfeld. Ponadto wystawiały dobrze znane w Polsce przedwrześniowej, firmy, mające w swych polskich fabrycznych oddziałach szpiegów i późniejszych agentów Gestapo, Fewa, Henko i Persil. — Kultura? Proszę: 2000 rozmaitych książek opuściło drukarnie lub znajduje się w druku o łącznym nakładzie kilkudziesięciu milionów egzemplarzy. Tysiąc teatrów pracuje, korzystając z subwencyj, zaspakajających całkowicie ich potrzeby. — Nie inaczej jest w polityce, i tu bilans jest obfity. Prasa partyjna wyjawia coraz śmielej swe poglądy na zamierzenia lub poczynania Aliantów w poszczególnych strefach. Cztery fortepiany przeszka-

Odbudowa Niemiec postępuje naprzód. Oto jak Niemcy przygotowują się do batalii wyżywieniowej we Frankfurcie nad Menem. Uprawia się ogródki wewnątrz wypalonych kamienic.

dzają sobie w grze. Dlatego Schumacher może w Hannoverze krytykować ostrożną i konsekwentną inicjatywę rosyjską, a Pieck w Berlinie oskarżać angielskie władze okupacyjne o pobłażliwość dla hitlerowców w szeregach tamtejszych socjaldemokratów.

Na tym tle dziwnie brzmi trzykrotne NIE, przychodzące z Zachodu. Pierwsze NIE wypowiedział premier Południowej Afryki gen. Smuts: „Nie rozbijajcie Niemiec... w żadnym wypadku nie pokusić się na niszczenie wielkiego historycznego narodu, ani jego ojczyzny, ani obyczajów" („Daily Express" z 1.6.46). Drugie NIE pochodzi od Churchilla: „Nie niszczcie wojennych pomników Niemców, to sprawa drobna wszak wobec tylu ważniejszych" (w czasie debaty w Izbie Gmin z maja br. nad pomnikami militarnymi Niemców). To powiedzenie Churchilla spotkało się z drobną krytyką na łamach „Manchester Guardian" ale i on skapitulował twierdząc, że „od momentu, gdy zaczynamy się wtrącać do historii, droga staje się śliska". Trzecie NIE pochodzi od gen. Clay'a, zastępcy amerykańskiego głównodowodzącego: „Nie naruszajcie jedności gospodarczej Niemiec!".

PROPAGANDA SENTYMENTALIZMU

Rosyjska polityka w Niemczech jest najbardziej jasna. Jest w niej niemało zdrowej myśli a zwłaszcza jasnego politycznego kierownictwa, co Niemców szcze-

Odbudowa Niemiec postępuje naprzód na wszystkich frontach. Oto pierwsza rewia mód w Berlinie. Niemka pokazuje bogatym Niemcom i funkcjonariuszom władz okupacyjnych model kostiumu plażowego.

Odbudowa Niemiec z pomocą aglosaską. Znikły drzewa w berlińskim Tiergartenie, użyte na opał. Teraz Anglicy dają swoje traktory i zaorują gołe pole pod kartofle i jarzyny dla Niemców. Na tylnim planie Kolumna Zwycięstwa.

gólnie ujmuje. Rosjanie przyszli tu z twierdzeniem, że Hitlerzy przychodzą i odchodzą, a naród niemiecki trwa i że Czerwona Armia przeciwna jest wszelkiej rasowej nienawiści. W tym samym czasie na zachodzie stosowało się ostro politykę „niebratania się", przy czym nie czyniono jeszcze różnicy między Niemcem-hitlerowcem a Niemcem — więźniem politycznym. Rosjanie przestrzegali natomiast od samego początku tej różnicy, popierając gorliwie ową drugą kategorię Niemców. Jakie skutki wynikły z tych obu odmiennych stanowisk? W strefach zachodnich po uchyleniu rozkazu o niebrataniu się żołnierstwo anglosaskie rzuciło się do fraternizacji jak do fasunku frontowego koniaku. I znowu nie uczyniono różnicy między Niemką - Niemcem spod znaku partii a ofiarami reżimu. Sprzyja temu i na rozwój fraternizacji wpływa niski stan moralności n. p. amerykańskich chłopców. Dosadnie o tym pisze pastor Renwick C. Kennedy w tygodniku „Time" sprzed miesiąca, a dużo ciekawych faktów dorzucają tu czeskie katolickie „Obzory" z 15 czerwca br. Tymczasem Rosjanie dzięki swej od początku konsekwentnej polityce mają do zanotowania osiągnięcia doniosłe, a administracja niemiecka jest tu najbardziej skonkretyzowana ideowo i organizacyjnie. Co prawda, nie wychodzi to na dobre naszym przyjaciołom słowiańskim, nieszczęśliwym Łużyczanom, ale o tym pomówimy kiedy indziej.

Na Zachodzie szerzy się sentymentalna propaganda niemiecka, wygrywająca współczucie. Propaguje się sentyment, łezkę w oku, serdeczność i miłość. Czynią to kobiety i dziennikarze, politycy i roje urzędników. Propaganda ta łatwo zwycięża. Sentymentalizm szerzy się w zastraszający sposób, a w polityce rzecz to niebezpieczna. Jak widzimy zresztą, nie uprawiają go sami zwykli obywatele Stanów czy Wielkiej Brytanii, ale wysocy nieraz politycy. Być może, że Anglicy zbyt serio biorą swój humanitaryzm. Na drugi dzień po ujrzeniu głodnego dziecka niemieckiego żołnierz angielski przynosi czekoladę. W tydzień po wzruszającym przemówieniu jakiegoś polityka niemieckiego na temat głodu, przychodzą z Londynu wagony z mąką, cukrem i łakociami. Anglicy oszczędzają dla Niemców. Archidiakon z Chesterfield R. W. Burne zaproponował rezolucję pod adresem rządu: „Bardzo ubolewamy, że przeciętna racja żywnościowa dla dorosłych Niemców w strefie brytyjskiej została ostatnio obcięta do tysiąca kalorii. Apelujemy do społeczeństwa brytyjskiego, by w związku z wielkim brakiem żywności gotowe było wspólnie z innymi narodami uczynić poświęcenia niezbędne dla uratowania od śmierci głodowej milionów ludzi..." (według „Manchester Guardian" z 15. maja br.). Jedynie Francuzi nie dają się prowokować. Na drugi dzień po wzruszającym przemówieniu niemieckim rozlepiają w mieście afisze ze zdjęciami z Oświęcimia, z fotografiami głodnych i pomordowanych, Polaków, Rosjan, Żydów, Francuzów i t. d. „To wyście uczynili — krzyczą plakaty — wy musicie najpierw ich nakarmić, dopiero potem siebie".

Niebezpieczna propaganda trwa. Sprzymierzeni z Zachodu poddają jej się. Niemcy uśmiechają się. Nie są znowu tacy głodni, skoro racje polskie mieszczą się także w granicach 1000 do 1400 kalorii. Nie mogli zaapelować do rozumu, apelują do uczucia. Czynią to umiejętnie, zastawiając się na przemian Goethem i męczennikiem Niemoellerem. Do niedawna ich świętym męczennikiem i wyznawcą był Horst Wessel lub Schlageter, teraz

Hitler kopie grób dla III Rzeszy.

ciągną Niemoellera, który jest nim prawdziwie.

Nikt by się nie domyślił, jak sentymentalni są ci Anglosasi.

Nam się zaś wydaje, że w tej części Europy nabrzmiewa nieprzyjemny groźny wrzód. Można podejść doń z nożem. Ale broń Boże bez sentymentów.

Józef Nacht

Rozstanie

Świt już noc konającą zdjął z okiennego krzyża
A ty wciąż stopy swe wikłasz w ucieczki kolczasty drut,
Im bardziej jednak odchodzisz, tym bardziej do niej się zbliżasz
Bo świat jest kulą u nogi i musisz paść do jej stóp.

Świt zawisnął na krzyżu ociekający tęsknotą,
Broczący godzinami, w które na oślep się rwiesz
Chociaż drogę zagrodził wiosny huczący potop
Choć grożą dymów chorągwie i ostre łuki wież.

Świat dla rozłąki jest wielki — grają nocy łabędzie...
Życie jest kulą u nogi, a kulą w sercu jest śmierć
Tamto już przeminęło. Nic już jutro nie będzie
I zegar zaraz się skończy, i oczy, i usta, i pieśń.

„Mieszko w pierwszym rzędzie jest tym władcą, który państwo wyrosłe z pól nadwarciańskich, a następnie rozprzestrzenione ku wschodowi, północy i południowschodowi, oparł terytorialnie także o linię Odry i górnej Wisły. Przez podbój Pomorza w roku 967, Śląska zaś i ziemi krakowskiej w roku 990, państwo Mieszka posiadało DWA WYRAŹNE KRĘGOSŁUPY GEOGRAFICZNO - OSADNICZE: WISŁĘ i ODRĘ. Terytorium to — czytamy u prof. Semkowicza — stanowi wybitną i zamkniętą jednostkę fizjograficzną, która obejmuje niemal zupełnie dorzecza dwu rzek bałtyckich, Odry i Wisły.

(Zygmunt Wojciechowski: „Polska nad Wisłą i Odrą w X w." Katowice, 1939).

Stanisław Helsztyński

Ziemie Odzyskane w pracowniach uczonych i pisarzy

Korzystam z okazji, że Biblioteka Ziem Odzyskanych przy Państwowych Zakładach Wydawnictw Szkolnych wypuściła na rynek księgarski pierwszy swój tomik, żeby przedstawić bilans i stan robót edytorskich, dotyczących naszego Zachodu. Publikacją pierwszą jest Stanisława Knauffa „Wojna zaczęła się w Gdańsku", zawierająca opis autentycznych przeżyć autora na terenie W. M. Gdańska w pierwszych dniach sierpnia 1939 r. Zamierzam wyliczyć kilkadziesiąt pozycyj następnych. Potrzeba ich jest nagląca.

Nauka i literatura polska zajęły się problematyką Ziem Odzyskanych bardzo gorliwie. Instytuty: Bałtycki, Zachodni, Śląski, Mazurski, każdy w swym zakresie ogłaszają cenne monografie. Przegląd Zachodni, Odra, Strażnica Zachodnia, Polska Zachodnia, Zachodnia Agencja Prasowa są wykładnikami czynnej postawy naszej wobec Ziem Zachodnich. Polski Związek Zachodni, Informacja i Propaganda ze swej strony dorzucają pozycje związane z Zachodem. Tygodniki i periodyki ogłaszają sporo artykułów i reportaży z tego zakresu.

Nie na ostatnim miejscu stają PZWS, debiutujące właśnie tomikiem Knauffa, pierwszą pozycją Serii: Ziemie Odzyskane. Ze względu na intensywną pracę w wielu ośrodkach naukowych, mające za przedmiot Ziemie Odzyskane, nie od rzeczy będzie przegląd tematyki, uwzględnionej we wspomnianej serii. Podaję w pierwszym rzędzie prace będące w druku:

Górski Karol — Krótkie dzieje Prus Wschodnich,

Gustowski Leszek — Pomorze Nadodrzańskie a Polska.

Bednorz Zbyszko — Od Opola do Wrocławia.

Srokowski Stanisław — Miasta i ludzie Prus Wschodnich,

Kaczmarczyk Zdzisław — Krótka historia polityczna Śląska.

Kochański Witold — Bratni szczep Łużyczan,

Grabowski M. A. — Podróż do Prus (oprac. K. Pieradzka),

Sukert-Biedrawina Emiliana — Dole i niedole mazurskie,

Zofia Turska-Straszewska — Pomniki książąt śląskich mówią...

Na drugim miejscu wymienić pragnąłbym studia gotowe, czekające na aprobatę ostateczna w komisjach kwalifikacyjnych Ministerstwa Oświaty. Należą tutaj:

Zdzitowiecki Jerzy — Zarys gospodarstwa niemieckich kresów wschodnich — Stanowisko junkrów w politycznym życiu Prus,

Plezia Marian — Palatyn Piotr Włostowicz,

Manteuffel Tadeusz — Pomorze Zachodnie a Polska piastowska,

Gryczowa Alodia — Zarys pismiennictwa Prus Wschodnich,

Czekańska Maria — Ziemie Nadodrzańskie i Pomorze Zachodnie,

Sukert - Biedrawina E. — Diabeł na Mazurach,

Popiołek-Ręgorowicz — Polskość Śląska w ciągu wieków,

Zygmunt Izdebski — Zagadnienie weryfikacji ludności polskiej na Opolszczyźnie,

Tyc Teodor (opr. G. Labuda) — Walka o Kresy zachodnie w okresie Piastów,

Kozicki Stanisław — Walka o granice zachodnie Polski na konferencji w Paryżu w 1919 r.,

Żelechowski Włodzimierz — Czterej budziciele polskości na Śląsku,

Następne wątki ujmą regionami, uwzględniając wszystkie działy, a więc historię, geografię, piśmiennictwo jak i tematy gospodarczo-ekonomiczne. Zaczynamy od Prus Wschodnich, które budzą wiele zainteresowania, zwłaszcza pośród nauczycielstwa pracującego w terenie mazurskim, chociaż i uczeni warszawscy dość ściśle związani są z tematami dotyczącymi tak bliskich terenów. I tak Lewandowska — Pawłowska Irena przygotowuje dzieje walki o polskość na Warmii i Mazurach w XIX wieku, podkreślając związek tej walki z ruchem narodowym w Księstwie Poznańskim i działalnością Koła Polskiego w Berlinie. Pedagog z przed wojny, dyr. gimnazjum polskiego w Kwidzyniu, Wład. Gębik, przedstawi rolę i znaczenie tej placówki oraz analogiczne stosunki na poziomie szkoły powszechnej w Złotowie. Jerzy Antoniewicz przygotowuje pracę: Prusy Królewskie i Warmia w oczach pisarzy polskich XIX. wieku. Bartoszewski Konrad wziął sobie na warsztat pisarzy polskich w Prusach Książęcych od czasów humanizmu, działaczy zaś politycznych z tego terenu uwzględni w swym studium Eugeniusz Paukszta. Nowe światło na stosunki Prus Książęcych i Polski rzuci praca prof. Wolińskiego Janusza.

Od strony turystycznej zobaczymy Warmię i Mazury w pracy Aleksandra Brueckenera, bratanka sławnego slawisty. Ponadto otrzymamy szereg oświetleń geograficzno-ekonomicznych od wykładowców II Kursu Ziem Zachodnich, odbywającego się w Krakowie staraniem Uniwersytetu Jagiellońskiego i Akademii Górniczej. Stamtąd zapowiedziano prace jak: Wrzoska „Krajobraz Ziemi Mazurskiej, Kohutka „Mazury" i inne. Będziemy mieli również tomiki oryginalnych poezji współczesnych z terenu mazurskiego oraz „Baśni ludu mazurskiego" w opracowaniu prof. Krzyżanowskiej Ireny, przygotowującej analogiczne zbiory ze Śląska i Pomorza Zachodniego. Dr Stanisław Skorupka i Andrzej Sieczkowski z Uniw, Warszawskiego opracowują problemy dialektyczne regionu warszawsko-mazurskiego.

Pożądana byłaby sylwetka Kalksteina z czasów Michała Wiśniowieckiego i krótki życiorys Feliksa Nowowiejskiego, autora „Roty", również postać Kopernika na tle jego ojczystego kraju. Nowowiejskiego zaproponowałem drowi Jerzemu Młodziejowskiemu, muzykologowi z Poznania, Kopernika zaś prof. A. Birkenmajerowi. Kalkstein czeka. Pragnąłbym, aby ktoś z talentem Wańkowicza zwiedził dziś Prusy Wschodnie i rzucił na papier obraz barwny, żywy, taki który jednoczy przeszłość i teraźniejszość, grody i ludzi, pejzaż i psychikę, cienie i blaski, przybliżając nam ten kraj w jednej, wielkiej, plastycznej panoramie. Idzie o żywe, głęboko odczute słowa, które by pokazały nam, ile śladów kultury polskiej tkwi w tej ziemi, ile wybitnych ludzi tutaj o Polsce myślało, dla niej działało. Mam na myśli nastrój i wagę tematu mazurskiego, ujętego tak wymownie przez Przygórskiego Zbigniewa w „Odrodzeniu" nr. 76 w artykule p. t. „Na fałszywych tropach".

Drugi z kolei region to Pomorze Zachodnie. Świeżo Józef Mitkowski dał nam podstawową rzecz „Pomorze Zachodnie w stosunku do Polski" wydaną przez Instytut Zachodni. Na 200 przeszło stronach wprowadza nas tu w swego rodzaju egzotykę, w krainę, którą zaniedbaliśmy wyraźnie, chociaż za Piastów cała nasza energia plemienna kierowała się tu z potężnym rozmachem. Cóż było naturalniejsze niż myśl, że Pomorzanie raz na zawsze należeć będą do państwa polskiego jako przyrodzeni jego współzałożyciele i mieszkańcy. Przez podział terytorium na dzielnice straciliśmy ten kraj i wybrzeże i morze i szansę życiową na wieki. Napróżno książęta pomorscy XII wieku zwracali się do książąt polskich o pomoc. Dania, później Niemcy, pochłonęły ich ku naszej szkodzie.

Ale związki, zwłaszcza dynastyczne, były ścisłe i żywe, ludność do wieku XVII przeważnie słowiańska. Wiele nas czeka radosnych niespodzianek właśnie co do słowiańskości, długowiecznej słowiańskości na tych ziemiach. Potrzeba studiów, które to wykażą. Na razie Józef Mitkowski przygotowuje pracę o Bogusławie X, wychowanku Długosza na terenie szczecińskim. Wspaniała postać. Wróg Niemców! kolega z ławy szkolnej Aleksandra, Olbrachta, Zygmunta, Fryderyka, wszystkich synow Kazimierza Jagiellończyka, przyszły mąż ich siostry, Anny.

Sławnego reprezentanta interesów polskich w Szczecinie, Kaźka Szczecińskiego, postać na poły romantyczną, na poły tragiczną, opracowuje nam Krystyna Pieradzka. Szereg księżniczek polskich również J. Mitkowski.

Andrzej Bukowski z materiałów pomorzoznawczych da szereg tematów: Sylwetki wybitnych Pomorzan, Charakter Pomorza w świetle historii, Rodzinę Sierakowskich z Waplewa, Pomorze w poezji, Pomorze w opisach podróżników. Jako współpracownik Instytutu Bałtyckiego, zżyty z problematyką Pomorza, wniknął w ducha ludzi i spraw będących na jego warsztacie.

Od Kraszewskiego Tadeusza z Poznania oczekujemy pamiętnika pt.: „Pół roku pionierki na Pomorzu Zachodnim". Będzie to swego rodzaju dziennik działalności grupy operacyjnej z roku 1945. Essaye i reportaże moje pt.: „W piastowskich grodach Pomorza Zachodniego", napisane w pierwszych miesiącach pobytu na Pomorzu Zachodnim, wyszły świeżo podczas „dni szczecińskich" z druku, poza serią Ziem Odzyskanych.

Bez wątpienia Pomorze Zachodnie nie jest należycie reprezentowane w Bibliotece Ziem Odzyskanych. Potrzebne są „Dzieje miasta Szczecina", impresje z 250 km wybrzeża, informator turystyczny grodów, miast, jezior i miejsc kuracyjnych tego pięknego kraju. Stanisław Staszic, syn kresów zachodnich z Piły, ojciec demokracji polskiej, czeka na chętne pióro. Zaapelowaliśmy do dra Mieczysława Suchockiego z propozycją napisania jego życiorysu. Odczuwamy brak tomiku encyklopedycznego, gdzie by na 4—5 arkuszach czytelnik dowiedział się wszystkiego o Pomorzu Zachodnim co najbardziej potrzebne od prehistorii do stanu dzisiejszego zasiedlenia. Kto napisze takie Vade mecum? Coś podobnego jak Ziemie Powracające, tomik 2, za konspiracji, pióra M. Czekańskiej, ale przystępniej, popularniej, żeby ktoś wziąwszy do ręki, nie rozstawał się już z tym brewiarzem pomorsko-zachodnim.

Co wiemy o Ziemi Lubuskiej? Powitalibyśmy z zapałem pracę o tym tytule. Zaznaczam, że nie idzie tu jak błędnie się zazwyczaj w administracji obecnie przyjmuje, o wszystkie powiaty i grody przyłączone w roku 1945 do Poznańskiego. A więc wyłączamy Babimost, Międzyrzecz, Bukowiec, Paradyż, Wschowę, które należały do rdzennej Wielkopolski i stanowią jej zachodnią granicę. Nawiasem mówiąc ten skrawek ziemi jest bardzo ciekawy i zasługuje na osobne opracowanie. Mówiąc jednak o Ziemi Lubuskiej, mamy na myśli nieckę doliny Odry, poszerzonej powyżej i poniżej ujścia Noteci, krainę w granicach dawnego biskupstwa lubuskiego, utworzonego przez Krzywoustego w 1124.. Pomijając teren po lewym brzegu Odry, chcielibyśmy ukazania nam dziejów i charakteru terenów z Kościerzynem, Cydzyną, Gorzowem i dalszymi powiatami. Idzie o polskie terytoria plemienne, które za Bolesława Chrobrego, jak przypuszcza Semkowicz, stanowiły swego rodzaju marchię, ziemię graniczną Polski z ostrzem przeciwniemieckim. Przy omawianiu autor bez wątpienia musi podkreślić związek Ziemi Lubuskiej ze Śląskiem, do którego należała politycznie dłużej niż do Wielkopolski. Książęta też śląscy marnotrawnie Ziemię Lubuską na rzecz margrabiów brandenburskich utracili. Ktoś kto by dał zarys historyczny, fizjograficzny i obraz dzisiejszych poczynań na Ziemi Lubuskiej, przysłużył by się pozytywnie społeczeństwu. Nawet gdy Przegląd Zachodni staraniem prof. Wojciechowskiego wyda zeszyt poświęcony Ziemi Lubuskiej, popularny tomik naszej serii będzie musiał być napisany.

Zainteresowania śląskie są od roku 1918 bardzo żywe i w tej chwili doznają rozszerzenia na ziemie opolskie i wrocławskie, dolnośląskie. Z wybitnych postaci zobaczymy w tomikach Biblioteki Ziem Odzyskanych zaciekłego bojownika o polskość Śląska, biskupa Nankera z Wrocławia, w opracowaniu Wilhelma Szewczyka. Obok stanie Henryk IV Probus (Pietrzykowski Tadeusz), św. Jadwiga z Trzebnicy (Aleksander Gieysztor), Wojciech Korfanty (Mieczysław Tobiasz), Witelo (A. Birkenmajer), poeci Śląska (Zdzisław Hierowski).

Prócz tego na warsztacie znajduje się szereg innych zagadnień śląskich. Ewa Maleczyńska przygotowuje „Młodzież polską we Wrocławiu" oraz „Staropolski Śląsk w anegdocie", Mikulski Tadeusz „Spotkania wrocławskie", szereg scen i sylwetek z literatury polskiej, związanych ze stolicą Śląska,od Słowackiego z matką we Wrocławiu przebywającego, poczynając. Olga Łaszczyńska na podstawie księgi Henrykowskiej wprowadzi nas w ducha kultury śląskiej w XIII wieku, Marian Friedberg kultury tejże przedstawi podłoże polsko-romańskie. Strzelecka Anna przypomni nam żywe jeszcze związki kulturalne Śląska z Polską w wieku XVI, rozpatrując dwór książęcy w Ziembicach, względnie dzieje klasztorów polskich żeńskich na Śląsku. Wiele obiecujemy obie po Janie Wiktorze, który przyrzekł pracę o Śląsku Opolskim. Podobne opracowanie kończy Roman Horoszkiewicz.

Nie zgłosił się dotąd nikt chętny pisać o Jacku i Czesławie Odrowążach z Opolszczyzny i Wrocławia. Próżno też czekam jeszcze na kogoś, kto by ujął w jeden porywający obraz kampanię roku 1109, opierając się na Gallu-Anonimie i uświetnił, wysławił Śląsk jako przedproże, bastion niezłomny gród całej piastowskiej wspólnoty plemiennej. Mamy na szczęście w opracowaniu dalsze wątki śląskie takie jak: Alojzego Targa „Śląsk Opolski w latach 1922—1945", A. Wrzoska „Wędrówki po miastach śląskich" oraz „Sudety, nowe góry polskie", Edwarda Kozikowskiego „Uroki Jeleniej Góry", A. Grodka „Kapitalizm na Górnym Śląsku", Mariana Tyrowicza „Śląsk w przededniu i w czasie wiosny ludów", Lewańskiego „Polskie piśmiennictwo Śląska", M. Tobiasza „Zarys stosunków Polski i Czech na tle Śląska", Mazurkówny-Bednorza „Szkice ze Śląska Opolskiego" i inne wątki planowane na dalszy dystans.

Szereg tematów odnosi się do całości Ziem Odzyskanych, lub tematów z nimi związanych, takich jak: Rząd i społeczeństwo wobec Ziem Odzyskanych (Edmund Serwański), Oblicze współczesnych Niemiec gospodarcze, polityczne, kulturalne (Aleksander Rogalski), Historia gospodarcza Z. O. (Jerzy Zdzitowiecki), Materiały etnograficzne Z. O. (Bożena Stelmachowska), Polska po przesunięciu ku Zachodowi (Maria Kiełczewska), przekazy wczesno-historyczne dotyczące Ziem Zachodnich (Jan Friedberg), Związek Polaków w Niemczech (vacat), Krótka historia Niemiec (vacat), Kresy Zachodnie w literaturze polskiej (vacat), Henryk Sienkiewicz o Niemcach (Stefan Papee), Stanisław Bełza, „pionier Ziem Odzyskanych" oraz „Zasługi A. Parczewskiego" dla Z. O. (Władysław Bełza), Ziemie Odzyskane w świetle wykopalisk (Zdzisław Rajewski).

Tutaj też należy wielki cykl z kursu o Ziemiach Zachodnich, urządzonego przez profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego i Akademii Górniczej w Krakowie. Uwzględnia on ogólne zagadnienia gospodarcze Z. O., ogrodnictwo, lasy, rybołóstwo, przemysł, rzemiosła, komunikację, hutnictwo i górnictwo, handel, zagadnienia uzdrowiskowo-letniskowe, turystykę i szkolnictwo Ziem Odzyskanych. Wykłady te po wygłoszeniu wejdą do tekstów Biblioteki Ziem Odzyskanych, stanowiąc realia gospodarcze, uzupełniające wątki humanistyczne poruszone w niniejszym konspekcie. Zarówno tematy, jak nazwiska wykładowców stanowią gwarancję wartości tych opracowań, wpływających w miarę realizowania kursu w ośrodku krakowskim.

Tematy dalsze, własne, projektowane lub gotowe przyjmuje nadal, jak i nowe sugestie niżej podpisany pod adresem: Warszawa, Grottgera 19.

Gustaw Morcinek

Nardelli z Varennes

Nardelli nie był nigdy w Varennes.

Nardelli nawet nie wiedział, co to jest owo Varennes. O rewolucji francuskiej, może wiedział, lecz o tamtym starym miasteczku w Argonach i o Ludwiku XVI, który skończył w nim swoją ucieczkę przed śmiercią — nie, tego również nie mógł wiedzieć.

Tak często śni mi się, że jadę karocą
czarną — jak wnętrze czaszki trupiej — [nocą
poprzez mgieł sennych nieprzytomną to- [piel,
poprzez mgły białe, upiorne i chore
ku jakiejś błogiej, bezpiecznej granicy
przed życia krwawym uchodząc terro- [rem...

To jest mowa o moim przyjacielu Nardellim. To on często śnił w obozie, że jedzie karocą czarną, jak wnętrze trupiej czaszki", łudząc się boleśnie, że ujdzie śmierci. Beata Obertyńska pisała w owym wierszu o Ludwiku XVI, a nie wiedziała, że pisze w nim dzieje mojego Nardellego.

Nardelli nie wiedział więc nigdy, czy istnieje na świecie jakieś miasteczko o cudacznej nazwie Varennes i czy żył kiedykolwiek jakiś Ludwik XVI. Wprawdzie obydwaj chodziliśmy do tej samej szkoły w Karwinie, lecz pan kierownik z rudą bródką, w okularach o złoconych brzeżkach, o obliczu zgorzkniałego satyra — jak to sobie później uprzytomniłem — pachnący tanim mydłem toaletowym, wytworny stary człowiek o rozwichrzonej czuprynie, przypominającej zarzewie rozchybotanych rudych płomieni, ten dziwny człowiek nigdy nam nie mówił ani o rewolucji francuskiej, ani o Ludwiku XVI, ani o miasteczku w Argonach o cudacznej nazwie cudzoziemskiej. Szkoła była szara i stała w środku między kolonią górniczą a olbrzymią hałdą przy kopalni Jana. Szkoła była ze wszech stron osaczona bełkotem pyskatych, rozczochranych bab w przykrótkich barchanowych, czerwonych spodniach, z wypiętymi brzuchami. Były zżarte nędzą, troską i rodzeniem rachitycznych i gruźliczych dzieci. Dzieci rodziły się obficie i obficie umierały. A te, co nie umarły, biegały z wielkim krzykiem koło szkoły, ciskały kamieniami za kotami i przeszkadzały panu kierownikowi w nauce. Z drugiej strony szkoły pasły się gęsi na obszernym zapadlisku. W zapadlisku gniła rdzawa woda, a gęsi szczypały chudą trawę i gęgały tak głośno, że pan kierownik i na nie musiał się zżymać. Po drugiej stronie zapadliska wynosił się obszerny płaskowyż czarnej hałdy. Stoki jej dymiły nieustannie utajonym żarem, dym zaś był siny, zasłaniał słońce, krztusił płuca i cuchnął czadem, padliną i zgniłymi kartoflami.

Pan kierownik więc nie uczył nas nigdy o miasteczku Varennes, ni o Ludwiku XVI, bo miał z nami stokroć większy kłopot.

Oto gorejąca hałda poza szkołą, po drugiej stronie zapadliska, była terenem, na którym wyżywała się wspaniała, a ponura dusza mojego przyjaciela.

Hałda była olbrzymim usypiskiem płonnych skał, wyłamanych spod ziemi. By przejść ją na około, potrzebowaliśmy na to całą godzinę. Usypisko było miejscami głęboko rozorane deszczami, i bruzdy te były podobne do otwartych ran, które już przestały krwawić, lecz teraz zrudziały i cuchną. Przepalone usypisko bowiem przybierało we wnętrzu rudy kolor, dziwnie twardy i bolesny w dotknięciu spojrzeniem.

Zbieraliśmy się na nim każdego popołudnia. Przewodził nam Nardelli. Tworzyliśmy bandę tak zuchwałą i tak bardzo złodziejską, urządzającą wyprawy na szyb Jana po węgle, że raz po raz zachodził do szkoły żandarm i pukał do drzwi pana kierownika. Pan kierownik wychodził, a myśmy patrzyli przez szparę niedomkniętych drzwi. Pan kierownik gryzł usta, a żandarm kiwał głową, na głowie zaś kiwało się czako z kogucim pióropuszem. Potem zdejmował z ramienia karabin z nasadzonym bagnetem i opierał o ścianę. Potem jeszcze schylał głowę nisko, koguci pióropusz rozczochrał mu się niesfornie, a paluchy grzebały długo w dużej torbie skórzanej na brzuchu, tak długo, aż wyłowiły z niej złożony jakiś świstek. My truchleliśmy na widok owej torby, patrzyliśmy z zachwytem na karabin ze srebrnym bagnetem i chichotaliśmy cichcem na widok rozczapierzonego pióropusza koguciego na kiwającej się głowie żandarma. W końcu żandarm poszwargotał z panem kierownikiem po niemiecku, zasalutował, zarzucił karabin na ramię i pomaszerował nadęty, jak paw, przez zbiegowisko bab i usmarkanych dzieci na drodze. Pan kierownik zaś wchodził do klasy ponury, sycił się przez chwilę naszym wytrzeszczonym przerażeniem, potem rozwijał karteczkę i wywoływał winowajców. Pierwszym był zawsze Nardelli. Stawał przed katedrą i wodził koło siebie ponurym wzrokiem. Podobny był do młodego, rozjuszonego byka, który patrzy, gdzie rogami ugodzić. Za nim stawało wystraszone pogłowie jego bandy.

Nazajutrz pan kierownik miewał wybitą szybę w mieszkaniu, Nardelli zaś przez kilka dni „polował" czyli nie przychodził do szkoły. Włóczył się z książkami za pazuchą po hałdzie i przeżuwał swoją krzywdę. My zaś sykaliśmy z bólu, gdy nam przyszło siadać na ławie w szkole.

A gdy się wszystko uciszyło, schodziliśmy się znowu na hałdzie i Nardelli wiódł nas znowu na wyprawę po węgle. Zamiast bowiem tkwić na stoku płonącej hałdy, jak to czyniły dziewczyny i kobiety, zamiast wędzić się w jego dymie, grzebać niemrawie w usypisku w poszukiwaniu zagubionego kawałeczka węgla i zamiast czekać, skoro zacznie nas łupać w potylicy, skoro zacznie się głowa toczyć i skoro zaczniemy boleśnie wymiotować, zatruci czadem, szliśmy na bogate węglobranie do wagonów kolejowych na szybie. Czatowali na nas stróże. Byli to starzy górnicy, kuternogi i przeróżni połamańcy, co już nie nadawali się do pracy pod ziemią. Kusztykali w obrębie kopalni z ciężkimi lagami, wąsaci i żujący tytoń. Przepuszczali nas chytrze przez dziury w parkanie, przepuszczali przez wysoki most drewniany, wiodący z hałdy ponad czarną drogą do sortowni, udawali, że nas nie widzą, a gdy cała czereda jęła już wyłazić na wagony, wypadali z ukrycia i rozpoczynali polowanie. Nigdy nikogo nie złapali, lecz napędzili nam tyle strachu, że jeszcze długo po ucieczce, ukryci w wygrzebanej wnęce w hałdzie, dygotaliśmy ze wzruszenia.

Nardelli wtedy klął jak dorosły człowiek i dzielił naszą zdobycz sprawiedliwie. Mnie jeden kawał węgla, tobie jeden...

Dziewczyny, zbierające węgle na hałdzie, nazywaliśmy „opuczorkami". Były to dziewczyny brzydkie, chude, blade i złe. Każda z nich miała swego kochanka i częstokroć Nardelli wiódł nas wądolcami i zakosami po hałdzie, by nam pokazać, jak taka dziewczyna parzy się ze swym chłopcem we wnęce hałdowej. Patrzyliśmy w zdumieniu i z obrzydzeniem na ów widok, gdyż przypominało nam to parzenie się psów w kolonii górniczej. A poza tym ksiądz katecheta mawiał, że to straszny grzech, że to tak straszny grzech, iż trudno opowiedzieć. I że takie świntuchy będą gorzeć w smole na samym dnie piekła... Potem takie dziewczyny chadzały na hałdę z rosnącym brzuchem, ich czerwone, barchanowe spódnice wydymały się z przodu, stawały się krótsze, z tyłu zaś były dłuższe, a potem taka dziewczyna nie przychodziła na hałdę, gdyż już zległa, jak mawiały baby. Potem miała chude, brzydkie dziecko, które zazwyczaj umierało.

Nardelli był mądry. Nardelli był tak bardzo mądry, że zawsze umiał wyliczyć, kiedy taka dziewczyna, oddająca się swemu chłopcu we wnęce, będzie miała dziecko. I nigdy się nie pomylił. Zdarzało się jednak, że nie miała dziecka. Wtedy Nardelli nam tłumaczył, że „potraciła".

Nardelli miewał więc tamte „opuczorki" w głębokiej pogardzie i jeżeli która do nas przyszła i jęła się przymilać w nadziei, że uzyska od nas kawał węgla, Nardelli odpędzał ją kamieniami, ciskając za nią takimi przezwiskami, których wypowiedzenie również było grzechem.

Potem stało się nieszczęście.

Oto pewnego razu Nardelli uciekał po wysokim moście nad czarną drogą. Dwóch stróżów pędziło za nim z lagami i z przekleństwami. Pan kierownik kopalni oświadczył im bowiem, że jeśli nie złapią Nardellego, lub chociażby jednego z jego bandy, to zapisze im tylko pół dniówki za karę. Pierona jasnego, pół dniówki!... Nie starczy nawet na ten suchy chleb!... Pędzili więc teraz za Nardellim, on zaś umykał przed nimi. Wysoki most dudnił jego zdyszanym biegiem, aż znienacka ustał!... Oto ścigany Nardelli zatrzymał się przed zatrzaśniętą bramą u wylotu mostu. A tamci biegli!... Nardelli zawahał się chwilkę, potem wylazł na poręcz mostu i skoczy w dół. Tamci krzyknęli przerażeni, Nardelli zaś opadł na stok hałdy, zwalił się na bok i stoczył na drogę. Poderwał się jednak szybko i znowu pobiegł. Lecz zdołał zrobić zaledwie kilka kroków. Zatoczył się, załamał i opadł bezwładnie na drogę.

Odtąd już zawsze utykał na prawą nogę. I to było przyczyną jego śmierci w obozie koncentracyjnym.

Sercu, jak zziajanemu na koźle woźnicy
każę pędzić na oślep — nie żałując koni
i już wiem — że się ślady zmyliło pogoni
i już wiem — że granica będzie nieda- [leko...
— Straszny — nadzieją zadyszany sen,
na który zawsze przebudzenie czeka
nienawistne i wrogie, jak karczma w [Varennes...

Dla Ludwika XVI tym potwornym przebudzeniem była karczma w Varennes, dla mojego Nardellego były zatrzaśnięte wrota na wysokim moście, co mu zagrodziły drogę w ucieczce, a które stały symbolem tamtego okropnego przebudzenia w obozie, gdy uświadomił sobie, że dzisiaj w nocy jeszcze idzie do komory gazowej.

I zanim skonał w komorze, jakże często widziałem go podobnym do króla Ludwika XVI, który śnił, że jedzie karocą czarną — jak wnętrze trupiej czaszki — nocą, ku jakiejś błogiej granicy przed życia krwawym terrorem!...

Minęły lata, minęło wiele lat od tamtego skoku z mostu, wszystkie wspomnienia tamtych wspaniałych a ponurych przeżyć tonęły powoli w nocy.

Rozeszły się nasze drogi, on poszedł na jeden kraniec świata, ja na drugi. Błąkaliśmy się po bezdrożach, czasem byliśmy blisko siebie, jakby tuż o ścianę, a czasem słuch o nas ginął, a czasem wydawało nam się, że ktoś z nas już nie żyje. ,

Dochodziły mnie czasem wyblakłe wieści o Nardellim z krzywym nożem sprężynowym, o jego bójkach z przeważającymi napastnikami u Haubenstocka na Sowińcu w Karwinie, o jego wyprawach do dziewczyn w sąsiednich osiedlach górniczych. Dochodziły do mnie echa legendy, jaka jęła się tworzyć koło jego postaci zawadiackiej, bohaterskiej i wspaniałej. Urastał powoli na miarę zbójnika Ondraszka z Beskidów, dziewczyny w bezsennych nocach marzyły o jego miłowaniu, żandarmi schodzili mu nieznacznie z drogi, najstateczniejsi górnicy brali go w swoje koła i przepijali z nim pobratymstwo. Mój wspaniały, po trzykroć wspaniały Nardelli, najserdeczniejszy kamrat z lat pacholęcych, człowiek o bohaterskiej, a tak bardzo ponurej duszy!...

Rozdzielił nas w końcu świat tak obcy przeżyciom i tak obcy naszym wzruszeniom wspólnym, że wydawało nam się czasem, iż ktoś z nas już nie żyje.

Po wielu, wielu latach spotkaliśmy się nareszcie w obozie koncentracyjnym.

Przyprowadził go „kapo", człowiek z Ramzesową głową, wskazał głową na ławę pod ścianą i rzekł sucho:

—Siadaj! To będzie twoje miejsce!

Zdumieni podnieśliśmy głowy. Ława pod ścianą była przecież miejscem uprzywilejowanym. Nie zdarzyło się bowiem jeszcze nigdy, by ktoś z przybyszów siadał na niej bez poprzedniego pątnikowania przez wszystkie inne ławy. To była przecież ława tych, co już byli weteranami w kartoflarni, co zdołali pozyskać łaski „kapa", jednego z tych licznych szubrawców obozowych, co żyli z nim za pan brat, co mogli — trawieni upadlającym strachem — odzywać się do niego po imieniu, wymawiając z francuska „Zorż", co tworzyli

---

Stefan Papee

Walka Sienkiewicza o Ziemie Zachodnie

W nowelce pod tytułem „Czy ci najmilszy" opowiada Sienkiewicz o matce, która z ust wędrowca dowiaduje się o losie swych synów. Wszystkim synom przesyła błogosławieństwo, bo wszystkich kocha jednako, ale podarki przekazuje tylko jednemu, Jaśkowi, najbiedniejszemu.

...„rola mu plonu nie daje, bieda i głód dokucza, w niedoli płyną mu dni i miesiące. Wśród obcych i nędzy mowy swej nawet zapomina".

Tę powiastkę zamieścił Sienkiewicz w jednodniówce pt. **Ziarno,** która, głównie dzięki jego niestrudzonym zabiegom, ukazała się w czerwcu 1880 r. na rzecz Ślązaków.

Sienkiewicz był wówczas felietonistą w warszawskiej **Gazecie Polskiej** i pierwszy zaalarmował opinię społeczeństwa polskiego w Królestwie, że w 1879 r. pojawił się na Górnym Śląsku głód. W odezwie do społeczeństwa wołał: „Ludność tak pracująca w kopalniach, jak i rolnicza, znajduje sie w stanie prawdziwie wzbudzającym litość... W domach wiejskich tulą się do siebie gromadki zziębniętych dzieci, próżno błagając o łyżkę ciepłej strawy... Wieśniacy sprzedają resztki dobytku, a wkrótce zaczną sprzedawać i ziemię, która nie umiała ich wyżywić. Kto pierwszy weźmie skarbonkę i potrząśnie nią w imię nędzy i miłosierdzia?"

Sienkiewicz przejął się gorąco losem Polaków na Śląsku nie tylko z pobudek miłosierdzia. Zdawał sobie doskonałe sprawę, że pomoc okazywana rodakom z nad Odry to równocześnie obowiązek narodowy, to walka z germanizacją. Ziemię polską na Śląsku kupią Niemcy, „pierwotni zaś mieszkańcy albo tułać się będą na własnej ziemi bez dachu i ziemi, albo udadzą się za ocean i tam na niezmierzonych stepach, lub wśród zgiełku miast wyginą zwolna z głodu, chłodu i tęsknoty".

Wielokrotnie więc do tej sprawy na łamach **Gazety Polskiej** powraca, donosi, że do głodu i tyfusu głodowego dołączyły się jeszcze mrozy, wyjątkowo silne na Śląsku w tym nieszczęsnym roku klęsk, nawiązuje łączność z Karolem Miarką, przewodniczącym komitetu głodowego dla Górnoślązaków, odezwy jego pomieszcza i naprzykrza się czytelnikom, byle móc zanotować, że znów dalszy tysiąc rubli odesłano potrzebującym szybkiej i skutecznej pomocy.

Niepokoją go korespondencje ze Śląska o wzrastającej emigracji do Ameryki, bo jako autor noweli **Za chlebem** lepiej wie od innych, ile kryje się w takim wychodźstwie nędzy i zagłady. Oburza go małoduszność redakcji jednego z pism prowincjonalnych, które przedwcześnie zamknęło listę składek na Górnoślązaków w obawie, że i w Królestwie głód być może. Słowem jest wtedy Śląsk Sienkiewiczowi najmilszy, jak tej osamotnionej matce ów najbiedniejszy i najbardziej zagrożony Jasiek.

O tych artykułach śląskich Sienkiewicza początkowo zapomniano, nie przedrukowywano ich w wydaniach zbiorowych pism Sienkiewicza, natrafił na nie dopiero w 1933 r. Józef Birkenmajer, gromadzący skrzętnie materiały do zamierzonej monografii Sienkiewicza i z wielką radością w 4 zeszycie **Zarania Śląskiego** z 1934 r. w pełnym brzmieniu po raz pierwszy przypomniał. Wciągnięto je potem do dzieła „Publicystyki" w wydaniu **Pism** Sienkiewicza Zakładu Ossolińskich, niestety, znów niedokończonym.

W setną rocznicę urodzin znakomitego pisarza, która właśnie 5 maja minęła, wydawało mi się, że trzeba o tych śląskich troskach Sienkiewicza pomówić z innego jeszcze powodu.

jego wierną gwardię, opłacającą się co miesiąc wysoką stawką.

Na tej ławie siedział przede wszystkim jego największy ulubieniec, człowiek podobny do płaczącej foki, który go uczył grać na organkach. „Kapo“ nie miał najmniejszego talentu, „kapo“ nie miał nawet słuchu muzycznego, lecz uparł się i ćwiczył wytrwale. W każdej wolnej chwili siadał w sypialni między łóżkami i grał stale tę samą melodię. Melodia była ckliwa, upłakana i beznadziejnie fałszowana, lecz my staliśmy pod oknami i cmokaliśmy z rzekomego zachwytu, klaskaliśmy gorliwie za każdym jej ukończeniem, uśmiechaliśmy się przymilnie i przepowiadaliśmy mu wielką przyszłość.

Nie wiem, czy „kapo“ spostrzegł się na naszej obłudzie. Uśmiechał się bowiem. jak skromna dziewica i mruczał niezmiennie:

— Schon recht!...

Na ławie tej siedzieli jeszcze dyrektor policji miejskiej w Wiedniu i „Oberbürgermeister von Wien“. Obaj tworzyli pewnego rodzaju atrakcję w naszym szarym zbiegowisku. Szef kuchni, gruby, odęty, „esesman“, przyprowadzał często swoich przyjaciół i znajomych i pokazywał im tamtych dwóch. Tak samo, jak na przykład pokazuje się komuś rzadkie okazy jakichś zwierząt zamorskich w zoologicznym ogrodzie. Tamci patrzyli i przeżywali dosyt swej własnej wartości, mogąc spoglądać z góry na tak wybitne osoby, skulone obecnie na ławie, w brudnych fartuchach, z ogolonymi łbami, obierający pilnie kartofle.

— O, ihr Sauhunde:... — mruczeli zadowoleni i patrzyli z pogardą na moich kolegów, „kapo“ zaś stał na uboczu i uśmiechał się do siebie.

Obok nich siedział dyrektor elektrowni w Bochum,następnie przemytnik kokainy, ujęty na granicy alzackiej, potem ja, a reszta kolegów z prawej strony była już mieszaniną. Był więc astrolog, chłop z Prus Wschodnich, kapitan statku handlowego, buchalter, niedoszły pastor, organista z Bielefeldu i dziwny człowiek o trzęsącej się głowie. Mawiał o sobie, że handlował kanarkami, wtajemniczeni zaś twierdzili, że to masażysta, który lubił masować młodych chłopców. I za to siedział teraz w obozie.

Na następnych ławach, ustawionych w pięciu szeregach aż do przeciwległej ściany, siedzieli ci, co już byli na drodze do naszej ławy, lub też ci, co nie posiadali tyle pieniędzy, by wykupić dla siebie pierwszą ławę. Pierwsza ława otrzymywała bowiem od „kapa“ więcej żarcia i nie musiała nosić kartofli w workach z wozu do piwnicy. Na ostatniej ławie zaś siedziała już zupełna biedota. Ci byli już w ogólnej pogardzie, bo obierali najmniej kartofli, wciąż się kłócili i szukali okazji, by żreć i żreć. Byli z góry przeznaczeni na wyrzucenie z kartoflarni.

Zdumieni podnieślimy przeto głowy, żeby popatrzeć na tak niezwykłego człowieka, zajmującego już w pierwszym dniu naszą ławę.

— Zrób mu miejsce! — rzekł jeszcze „kapo“ do mnie i odszedł.

I kiedy przybysz niezdarnie przekraczał kupy obierzyn i ogromny cebrzyk z obranymi kartoflami, wsparł się dłonią o moje kolano i podniósł oczy na mnie. Ujrzałem twarz starą, pomarszczoną, o grubych rysach, pochmurną o sępich oczach i o wyrazie zdziwionego niedźwiedzia. Rysy jego były mi znajome. Nie mogłem jednak przypomnieć sobie, gdzie je widziałem, kiedy, w jakich okolicznościach.

— Jak się nazywasz? — zapytałem, robiąc mu miejsce po prawej stronie.

— Pieronie, tak głupio się pytać! — odburknął. — Czy już mnie sobie nie przypominasz?

— Nie!

— Nardelli jestem, do ciężkiej cholery! Kolega z lat szkolnych!...

— Chryste Boże, Nardelli!...

— Ale się zmieniłeś! Nie mogłem cię poznać!

— A ty nie? Wyglądasz jak małpikról! Widzisz, a ja cię jednak poznałem! No pokaż, jak się te pierońskie kartofle obiera? Cholerne takie życie przeklęte!...

Kopnąłem go ukradkiem, by nie rozmawiał. Bo oto nadchodzi szef kuchni, człowiek zły i głupi, bydlę parszywe, pomiot szatana. Milcząc przeto pokazywałem mu, jak powinien trzymać nóż, jak kartofel, jak ruszać nożem, by zbierał cienkie łupiny, jak wydłubywać „oczka“, a przede wszystkim, jak należy się uwijać, by utrzymać się jak najdłużej u nas.

Każdy dzień w kartoflarni, to jeden dzień darowanego życia. Wieczorem przy przyjściu z pracy, kiedy już się legło w barłog, ów darowany dzień życia wyrzucało się z myśli, jak brudną, wyżętą szmatę i czekało się trwożliwie na nowy dzień, który nastąpi po nocy.

— Ileś zapłacił? — zapytałem jeszcze szeptem, nachylając się do niego w chwili, kiedy sięgałem po nowy kartofel.

— Pieronie, ani się nie pytaj!... — mruknął i splunął z pogardą.

— Nie pluć! Tu nie wolno pluć!... Inaczej raus!... — zaskrzeczał „kapo“ nad nami.

— Kurbiel pieroński, zawarczuch koślawy, dyć go tym kartoflem zdzielę, to mu się ten krzywy łeb rozleci!... mruczał Nardelli ze złością. — A gdzie mam pluć? Do własnej kieszeni! Na jego łeb orangutana?...

— Cicho Nardelli, do jasnej cholery!... — uciszałem go życzliwie.

— A niech mi, pieron, skoczy do... — i nie dokończył, bo w tej chwili pacnął o jego twarz zgniły kartofel i rozbryznął się cuchnącymi strugami.

To „kapo“ uczynił. Nardelli ścisnął nóż kurczowo, twarz jego zdrapieżniała, oczy zabłysły zimnym ogniem.

— Maul halten und arbeiten! — wrzasnął piskliwie „kapo“ i odszedł do ostatniej ławy.

Nardelli ocierał rękawem koszuli zbrudzoną twarz i mełł w ustach przekleństwa.

— Tego pierona zabiję, gdy tylko przyjdą Amerykanie! — szeptał do mnie mściwie.

Uśmiechnąłem się do tamtego powiedzenia „gdy przyjdą Amerykanie“. Kiedy tam przyjdą Amerykanie? Prędzej wszyscy w obozie wyzdychamy, zanim oni nadejdą.

— Kiedy przyjdą? — zapytałem w chwili, gdy „kapo“ stał odwrócony.

— Kiedy przyjdą? Nie wiem, lecz wiem, że przyjdą!...

— Dożyjemy?

Spojrzał na mnie z pogardą.

— Głupiś! Musimy!... — szepnął twardo i cisnął z taką pasją obrany kartofel do cebrzyka, że brudna woda bluznęła wysoko.

Nastała cisza, wypełniona mlaszczącym chrobotem obieranych kartotfli.

Myśli Nardellego i moje zgarnęły się w wspólne kłębko i teraz krążyły leniwie w jakimś spiralnym kołowrocie, którego środek stanowiło widmo śmierci. Myśli nasze były szare i drżące, jakby potrząsane smużki dymu, kiedy za ścianą dygoce ogromna maszyna bez tchu.

Oczy nasze poszarzały.

— A jeżeli nie doczekamy? — zapytałem znienacka i nastąpiła ulga u mnie. Sformułowanie tamtych myśli w zrozumiałe i w tak bardzo tragiczne pytanie przyniosło mi ulgę. Teraz czekałem odpowiedzi.

Nardelli spojrzał na mnie przeciągle. Jego oczy nie były już drapieżne i sępie. Jego oczy były już nawet szare, lecz mętne. Jak u człowieka, który istotnie widzi przed sobą śmierć. I już teraz wiedziałem, że i u niego wylęga się bez przerwy i bez tchu w każdej najdrobniejszej minucie parszywy lęk przed śmiercią. Że lęk ów przeobraża się powoli w strach, w taki okropny strach. Strach jest podobny do potworka o rozczapierzonych palcach; o rozwichrzonych włosach, włosy zaś są rzadkie, szare i długie, jakby olśnione. Że strach ów patrzy w tej chwili w niego wyłupiastymi ślepiami, ślepia zaś są duże, pełne, okrągłe i szkliste, jak u topielca, w słup wywrócone, tak strasznie nieruchoem i martwe. Że strach ów ma ciałko chłodne, lepkie, oślizgłe, podobne do ciałka noworodka, gdy wyjdzie z łona matki. Wiedziałem już w tej chwili, że podobnie jak u nas wszystkich, tak i u mojego przyjaciela strzach ów kryje się poza granicami świadomości, że drąży jego serce, jak plugawy robak, że je przerwieca w poplątane korytarzyki, że je przemienia w truchło, w szare, ohydne truchło cuchnące i że kiedy w końcu tamto nieszczęśliwe serce opuści, człowiek oszaleje...

I wiedziałem, że w samotnych godzinach strach ów zacznie krzyczeć, tak przeraźliwie krzyczeć i tamte cienkie, rzadkie włosy rwać rozczapierzonymi palcami i tamte wyłupiaste oczy wywracać w męce; wiedziałem, że krzyk jego strachu przejdzie w wycie, w tak okropne wycie, iż dojdzie aż do Boga!...

Czy Bóg ulituje się nad owym człowiekiem, czy uciszy jego obłąkany strach?

Wiedziałem już teraz, że tamte wszystkie wspaniale zbudowane teorie, mówiące napuszonym językiem, iż jedynymi motorami życia — to głód fizyczny, głód miłości czy głód władzy, że te wszystkie mądrości przemieniają się w garść plew, rzuconych na wiatr, a pozostaje tylko jedna jedyna prawda: s t r a c h jest jedynym motorem życia!...

Jak długo będzie człowiek w obozie, jak długo będzie patrzył bezsilny na konanie swych kolegów, na robaczywą złość ludzką, jak długo będzie gnił na dnie tego chydnego piekła, tak długo strach będzie jedynym czynnikiem, zastępującym u niego serce, myśli, przyjaźń i nawet wiarę w Boga!

— Ty się boisz? — zapytałem go szeptem.

Nardelli otrząsnął się, spojrzał koło siebie. „Kapa“ nie było w kartoflarni. Ukradkiem wydobył jakąś fotografię z bocznej kieszeni marynarki. I znowu igrał z niebezpieczeństwem. Wiedział przecież, że fotografij nie było wolno posiadać przy sobie w obozie. Że jeżeli nastąpi nieoczekiwanie rewizja, a „esesman“ znajdzie ją u niego, będzie za karę wisiał przez godzinę na słupku, zawieszony na wykręconych do tyłu ramionach, lub otrzyma dwadzieścia pięć podwójnych batów na koźle.

Nachylił się teraz do mnie i pokazał mi ją.

— Widzisz, to jest moja córeczka!... — szepnął, a jego szept był ciepły, nabrzmiały sercem.

Z fotografii patrzyła na mnie może dziesięcioletnia dziewczynka. Ubrana w krakowski strój, z lekką kokieterią podparła boki i uśmiechnięta patrzyła w moje oczy. Była śliczna. Zwłaszcza jej duże, głębokie, ciemne oczy. Odziedziczyła je chyba po swoim dziadku, emigrancie włoskim z północnej Italii. Babka bowiem była Niemką z południowego Tyrolu i miała oczy niebieskie.

— Widzisz, to jest moja Elzinka!... — szepnął znowu.

— Widzę... Nie wiedziałem, że masz już tak dużą córkę!...

— Oto widzisz... ja już mam życia dosyć... Lecz dla tego dziecka dzisiaj żyję i pragnę żyć!... Dla nikogo innego, jak dla tego dziecka!... Dla mojej Elzinki!... powtórzył drżącym szeptem, a potem znienacka nachylił się do swoich dłoni, ucałował twarz dziecka na fotografii, wyprostował się i przymknął oczy. Równocześnie dłonie jego machinalnie wsunęły fotografię do kieszeni.

— Dla tego mojego dziecka muszę doczekać się wolności!... — szepnął jeszcze.

Teraz nie był to już ten Nardelli ,którego znałem. To był inny człowiek. To był człowiek pokorny, proszący o łaskę życia, korzący się w swych najtajniejszych głębiach serca przed kimś tak wielkim, że imię jego możnaby jedynie szeptać na klęczkach.

— Wierzysz jeszcze w Boga? — zapytałem.

Nie odpowiedział, bo przed naszą ławą znowu pojawił się „kapo“.

Pozornie nic się nie zmieniało. Dni schodziły jednostajnie, niczym nie przegradzane. Do pracy przychodziliśmy rano, o świcie, siadaliśmy na ławach i pracowaliśmy do południa. Potem szliśmy piątkami na obiad do swych bloków. „Kapo“ prowadził nas i po drodze wciąż nam wymyślał. Był przekonany, że źle maszerujemy, że nie dotrzymujemy kroku, że się rozglądamy, że rozmawiamy. Prowadził nas do swego bloku i tam pochód rozwiązywał się na godzinę. „Kapo“ nie jadł obiadu, bo już był się nażarł w kuchni. Wchodził więc do sypialni między łóżka i zaczynał dudlić na organkach. My tymczasem zjadaliśmy miskę kapusty czy brukwi, a kartofle pchaliśmy do kieszeni. Potem wybiegaliśmy na główną ulicę obozową. Czekali tam na nas nasi głodni koledzy. Mój przyjaciel stał skurczony obok topoli i czekał. Był chudy, zgarbiony, trzęsący się z zimna. Od czasu do czasu chuchał w dłonie i tarł je z wysiłkiem. U nosa wisiała mu kapka, o czym nie wiedział. Podawane kartofle pożerał z łupinami.

— Nie jedz z łupinami! — ostrzegałem go zawsze.

Wtedy on jakby się zawstydził, mruczał coś na swe usprawiedliwienie i resztę kartofli odzierał paznokciem z łupiny.

(C. d. n.)

Sienkiewicz i po 1880 r. o Śląsku pamiętał. Przypominamy sobie z **Potopu,** jak to hasłem do odrodzenia Polski i pozbycia się Szwedów jest odezwa Jana Kazimierza, wydana na Śląsku, gdzie opuszczony przez poddanych prawowity król szukał ratunku i obrony. Na Śląsk z dobrą nowiną o cudownej obronie Częstochowy jedzie i Babinicz, aby tam w służbie królewskiej szukać rehabilitacji za grzechy popełnione i przypisywane tylko Kmicicowi. Nim dojechali Kmicic z Kiemliczami do Głogowej do króla, widzą, że „w całym Śląsku, a zwłaszcza w księstwie raciborskim i opolskim, gotowało się jak w garnku...“, bo wszystko, „komu Bóg i wiara Jego święta pierwsza nad wszystko dobro“, gotowało się przeciw Szwedowi. Król w swej powrotnej do kraju podróży przekonał się, że śląscy górale tępią, jak mogą, Szweda i drogę monarsze torują.

Potem w **Krzyżakach** wzruszy nas piosenka o Jasiu ze Śląska, nucona przez Danusię w tynieckiej gospodzie, która zachwyci i Gustlika **z Wyrąbanego chodnika** Morcinka, jak przedtem i potem tysiące jego krajanów rozrzewniała.

Nie na tym koniec. W tomiku pt. **Sienkiewicz o Niemcach,** opracowanym dla **Biblioteki Ziem Odzyskanych** wyliczam dokładniej jak często i pilnie śledził Sienkiewicz los Polaków, nękanych wówczas pruskim zaborem, jak serdecznie i gorliwie upominał się o ich krzywdy, jak liczne dawał dowody, że nie raz tylko jeden Śląsk był mu najmilszy.

Teraz, z okazji jubileuszu wielkiego pisarza, pragnę odwrócić pytanie i zastanowić się, choćby tylko pokrótce, czy przypadkiem dla Ślązaków Sienkiewicz z pisarzy polskich nie był również najmilszy, czy nie jego to właśnie dzieła na Śląsku najchętniej i najwdzięczniej czytano, czy nie jemu Śląsk, bodajże najwięcej zawdzięcza pomocy w przetrwaniu zła i w wiernej pamięci o macierzy.

Mówiłem o tym obszernie na Akademii w Teatrze Polskim w Katowicach w 1935 r., kiedy na zaproszenie Polskiego Związku Zachodniego, oceniałem **źródła rozrostu życia polskiego w Niemczech.** Wskazałem wówczas na rolę książki polskiej w odrodzeniu narodowym Śląska i starałem się udowodnić, że właśnie dzieła Sienkiewicza były jednym z najpotężniejszych źródeł pomnażania życia polskiego na Zachodzie.

Teraz powołam się tylko na świadectwo prof. Józefa Ujejskiego, który w szkicu **Na zgon Sienkiewicza** wspomina: „Umarł przed niewielu laty na Śląsku bogaty Niemiec z polskiej niegdyś rodziny Olszewskich. Sam nigdy po polsku nie umiał, żonę miał Niemkę, i dzieci jego nigdy pewnie o Polsce nie słyszały. Otóż ten człowiek, umierając, dziwny pozostawił testament. Synom swoim przekazał majątek pod tym warunkiem, że staną się Polakami. I to nie z imienia tylko. Mieli nauczyć się po polsku i w Polsce zająć stanowisko. Gdyby tego warunku nie dopełnili — wówczas cały majątek miał przejść na... Henryka Sienkiewicza. Czy oszalał ten Niemiec? Nie. Jemu tylko wpadł przypadkiem do ręki niemiecki przekład **Ogniem i mieczem,** i doczytał się w nim własnej polskości“.

Można by tu przytoczyć listy robotnika z Górnego Śląska, który trafem przeczytał po polsku **Trylogię** i poczuł, że trzeba zmyć z duszy sadzę niemczyzny z latami nawianą, skąpać się w krynicy polskości i odtąd dzieci po polsku wychowywać. Można by na koniec powołać się na Stefana Żeromskiego, który w szkicu o Sienkiewiczu pisze w ten sposób o książkach autora **Krzyżaków:** „Jak wykazały ankiety w kwestii czytelnictwa, są one najpopularniejszymi w chatach śląskich górników“. Sienkiewicz był, jest i jeszcze przez długie lata będzie najpopularniejszym pisarzem polskim na Śląsku. Objaw to pomyślny. Z jego bowiem dzieł nauczy się najlepiej czytelnik służby ofiarnej dla Polski i czujności na jej zachodnich kresach wobec tych, którzy zawsze myśleli i nadal myślą „o zagładzie Królestwa i całego plemienia polskiego“.

Antoni Pawlikiewicz

Tu Odra, tam San i Bug

Człowieka, który zdecydował się na „egzotyczną" dla pewnych osób wyprawę na tereny wschodniego pogranicza, począwszy od Podkarpacia a skończywszy na ziemiach między Sanem a Bugiem, zadziwi na pewno poważny rozwój życia kulturalnego i jeszcze silniejszy pęd do prawdziwej sztuki. Miasta, o których w reszcie Polski niemal że zapomniano, w rzeczywistości nie tylko oddychają i pracują, lecz w ich niełatwych tamtejszych warunkach szukają dla siebie należnego miejsca w pozycji, zwanej kulturą i sztuką. Trzeba to ocenić z najwyższym uznaniem, a owo „dalekie" dla nas pogranicze wschodnie mogłoby być pod niejednym względem wzorem i dla innych ziem.

Nasamprzód podam suche zestawienie osiągnięć, uzyskanych na polu kulturalnym, ażeby przekonać czytelnika, że praca na naszym wschodzie dała już piękne i poważne wyniki: stałe sceny — Teatr Ziemi Rzeszowskiej, pod kierownictwem Wandy Siemaszkowej, „Fredreum" w Przemyślu, teatry w Łańcucie, Jarosławiu i Chełmie; Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki w Rzeszowie i Przemyślu, Instytut Muzyczny Chopina w Rzeszowie oraz szkoły muzyczne w: Jarosławiu, Przeworsku, Przemyślu, Krośnie, Sanoku Strzyżowie, Nisku, Zamościu i Chełmie; Związek Artystów Plastyków Ziemi Rzeszowskiej, szkoły plastyków w Krośnie, Przemyślu i Zamościu oraz liczne t. zw. wolne studia rysunków, odbudowujące się muzea w Rzeszowie, Przemyślu, Sanoku, Łańcucie, Krośnie, Zamościu i Chełmie, pismo literackie „Kamena" w Chełmie.

W życiu kulturalnym ziem wschodnich teatr zajmuje naczelne miejsce. O dobrodziejstwie żywego słowa ze sceny można się szczególnie przekonać wówczas, kiedy scena stanowi niemal że jedyną kulturalną rozrywkę dla tysięcy ludzi. Rzeszów — stolica województwa — posiada jedno maleńkie kino, rzadkie koncerty, jeszcze rzadsze występy artystów z Warszawy, wraca do czasów swej przedwojennej świetności. Teatr korzysta z pomocy Min. Kultury i Sztuki, jednakowoż próby wprowadzenia codziennych przedstawień nie powiodły się po prostu dlatego, że nawet przy najdostępniejszych cenach będą one zawsze za wysokie dla przeciętnego obywatela Przemyśla. Z tego też względu przedstawienia idą dwa razy w tygodniu, ponadto każda premiera (t. j. przynajmniej raz w miesiącu) wystawiona jest bezpłatnie dla miejscowego garnizonu.

Łańcut nie ma kina, może się natomiast poszczycić tym, że posiada swój własny teatr, o którego wysokim poziomie przekonałem się w Rzeszowie, dokąd przyjechał z gościnnym występem („Zaczarowane Koło" — Rydla). Ponadto teatr łańcucki gościł Ludwika Solskiego, który wystąpił w ubiegłym roku 9-krotnie w „Zemście" na specjalne zaproszenie Łańcuta. Wielka tylko szkoda, że do tego zakątka Polski, choć przybył tu sędziwy mistrz sceny, nie zawitali inni aktorzy, dla których przyjazd byłby zapewne związany z mniejszym wysiłkiem.

Na dobrym poziomie znajduje się wreszcie Teatr im. Bałuckiego w Jarosławiu i Teatr Ziemi Chełmskiej w Chełmie, gdzie widziałem bardzo starannie wystawioną „Moralność Pani Dulskiej". Mimo pozorną konkurencję kin, problematyczną zresztą ze względu na miernotę wyświetlanych w prowincjonalnych miastach filmów, popularność sztuk teatralnych w większych ośrodkach na terenach wschodnich wzrasta systematycznie. Pojawienie się np. teatru jarosławskiego z gościnnym występem w Przeworsku stanowiło wielkie wydarzenie i niemałą sensację dla tamtejszych mieszkańców, zapomniany Sanok nie może doczekać się teatru Siemaszkowej, bo w całym mieście... nie ma sali na przedstawienie.

Prezydent Zamościa oświadczył w rozmowie ze mną, iż „marzeniem jego jest stworzenie Teatru Ziemi Zamojskiej", na który z utęsknieniem czekają mieszkańcy Wprawdzie z Lublina przyjeżdża czasami tamtejszy teatr objazdowy, a i z Warszawy pojawiają się niekiedy dobrzy artyści, jednakowoż poważną trudność w organizacji przedstawień stanowi miejscowa kinofikacja, żądająca 5.000 zł za popołudniowy występ w sali kinowej, będącej jedyną w ponad 20.000 mieście. Gorzej jeszcze wygląda sprawa w pogranicznym Hrubieszowie, gdzie kinofikacja wzbraniała się przed uruchomieniem kina, motywując to... niepewnymi lokalnymi warunkami! W istocie więc życie kulturalne Hrubieszowa zamyka się na czytaniu prasy lubelskiej w cenie od 5 zł za dziennik, który po kilku dniach nabywa się za 2 zł „do palenia" w miejsce drogich bibułek.

Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki w Rzeszowie i Przemyślu organizują stałe odczyty literacko-naukowe, cieszące się dużym powodzeniem, przyczem miłą dla mnie niespodzianką był w Przemyślu odczyt, zatytułowany „Śląsk". Na marginesie (i to b. skromnym) niech mi będzie wolno spytać, czy w jakimkolwiek mieście rozległej ziemi śląskiej odbył się dotychczas odczyt np. pod tytułem „Pogranicze wschodnie?"... Jestem przekonany, iż dostarczyłby on publiczności wiele cennego i ciekawego materiału.

Brak znalezienia na tamtejszym terenie odpowiednich warunków egzystencji spowodował masowy odpływ zdolnych ludzi w głąb kraju, a przede wszystkim na zachód. Najsilniej dotyczy to literatów i naukowców. Ci literaci, którzy jeszcze pozostali, pragną skupić się wokół miesięcznika „Nowe Słowo", którego pojawienie się było przedmiotem rozważań w początkach tegorocznej wiosny. Naukowcy wyjeżdżają, bowiem taki Rzeszów np. jest jednym z nielicznych miast wojewódzkich, nie mającym żadnej wyższej uczelni. Kończąc gimnazjum na Podkarpaciu, czy nad Sanem lub Bugiem, trzeba jechać na wyższe studia do Krakowa, lub Lublina. Po wyzwoleniu istniała w Rzeszowie 42-osobowa orkiestra symfoniczna, która szybko rozpadła się, bowiem muzycy znaleźli lepsze możliwości gdzie indziej w kraju. Rzeszów i Lublin miały początkowo rozgłośnie regionalne, które zajmują się dzisiaj nadawaniem lokalnych komunikatów i są zapomniane przez Naczelną Dyrekcję Polskiego Radia.

Trzymają się jeszcze jako tako artyści malarze i rzeźbiarze. Zorganizowano kilka wystaw, odbywają się odczyty, na zamku łańcuckim urządzono kolonię malarską, kształci się młode pokolenie. Pisząc o życiu kulturalnym na wschodnim pograniczu należałoby poświęcić specjalny rozdział słynnej na całym świecie (dosłownie) orkiestrze ludowej Namysłowskiego, mającej 64 lata wspaniałego istnienia. O tym znakomitym zespole napiszę wkrótce odrębnie. Rozmawiałem z p. Namysłowskim w Zamościu. Obiecał w tym roku rozwinięcie szerokich skrzydeł po kraju, a również zawitanie na Śląsk. Sądzę, że tutaj ta jedyna w swoim rodzaju w Polsce orkiestra napotka na lepsze warunki, niż np. niemal w rodzinnym Zamościu, gdzie (znowu!) kinofikacja zażądała za propagandowy występ... 12.000 zł! Ludzie ofiarni, zapaleńcy sztuki i jej miłośnicy radzą sobie, jak mogą, aby słowo „kultura" miało na tych ziemiach naprawdę głęboką treść.

Drugim teatrem na wschodnim pograniczu, mającym swoją blisko 40-letnią tradycję i piękną kartę w utrzymaniu polskości na tych ziemiach, jest „Fredreum" w Przemyślu. Teatr ten uruchomiono już 2 września 1944 roku, jako drugi w Polsce po Lublinie, premierą „Gdzie diabeł nie może". Jest to teatr amatorski, złożony z ludzi prawdziwie dobrej woli, ale równocześnie bardzo zdolnych aktorów. Wystarczy wspomnieć, iż z „Fredreum" wyszli tacy znakomici aktorzy, jak Kostrzewska, Hryniewiecki, Leliwa i inni, a ostatnio kilku młodych aktorów otrzymało zaszczytne propozycje do teatrów państwowych w wielkich miastach kraju. „Fredreum" powróciło obecnie do swej zabytkowej dawnej siedziby na górze przemyskiej, gdzie po dziś dzień istnieją ruiny historycznego zamku. Niestety, teatr rozpoczął swą pracę od niczego. Podpalona przez Niemców spłonęła doszczętnie bogata kostiumeria, licząca ponad 2.000 sztuk, przede wszystkim klasycznych ubiorów, podobny los spotkał bibliotekę teatralną o liczbie ponad 3.000 tomów. Bezinteresowny zapał ludzi, pojmujących głęboko obecne zadania polskiej kultury w tym kresowym mieście, a zarażonych — jak to oświadczył mi dyrektor teatru, p. Wysocki — „bakcylem scenicznym", doprowadził do tego, że „Fredreum" szybko po-
czy Krakowa i — teatr zawodowy pod kierownictwem znakomitej aktorki Wandy Siemaszkowej. Teatr ten powstał jako jeden z pierwszych w wyzwolonej Polsce, a uroczyste jego otwarcie odbyło się już 1 listopada 1944 roku premierą „Wyzwolenia". Od pierwszej chwili kierownictwo dążyło do utrzymania wysokiego poziomu sceny, wystawiającej głównie klasyczne sztuki polskie Wyspiańskiego, Słowackiego, Fredry, Blizińskiego itp. Będąc na przedstawieniu „Mazepy", granej przy pełnym komplecie widowni, miałem możność przekonania się zarówno o bardzo starannym przygotowaniu ze strony wykonawców, jak i o wybitnie teatralnym zachowaniu się publiczności. Dzięki doborowi repertuaru i grze aktorów teatr ten ma zapewnione powodzenie zarówno w Rzeszowie, jak i na występach w innych miastach.

Książka Ziem Odzyskanych

Józef Mitkowski. Pomorze Zachodnie w stosunku do Polski. Poznań 1946, Inst. Zachodni. Str. 223.

Ruchliwy nadzwyczaj Instytut Zachodni w Poznaniu od pierwszej chwili swego istnienia rozwinął szeroką działalność wydawniczą, bardzo różnorodną jeśli chodzi o treść poszczególnych prac i charakter ich ujęcia, jednolitą natomiast, jeśli weźmiemy pod uwagę aktualność poruszanych zagadnień oraz potrzeby chwili bieżącej i przygotowania na przyszłość. Największą bodajże zasługą Instytutu Zachodniego jest przeciwdziałanie nieuchronnej fali zapomnienia, jaka grozi wszelkim zdarzeniom przeszłości przez ten okres, kiedy już się „opatrzyły", przestały być tematem rozmów w dniu codziennym, a jeszcze nie stały się aż tak odległe, aby być przedmiotem specjalnych, naukowych już studiów historii. Dzięki Instytutowi powstają dziś jeszcze dostępne, zbierane jeszcze dawniej w latach okupacji, dokumenty niedawnej bolesnej przeszłości zbrodni niemieckiej na terenie Polski, ucisku barbarzyństwa, zostają uwiecznione drukiem, każdemu dostępne, zachowane dla potomności, ujęte w wydawnictwa. Wydano dwa tomy **Documenta Occupationis teutonicae** (t. I Nędza robotnika polskiego, t. II Zbrodnia niemiecka w Warszawie), częściowo wydane, częściowo jeszcze w druku dwa tomy badań nad okupacją niemiecką w Polsce (K. M. Pospieszalski, Polska pod niemieckim prawem 1939 — 1945 i A. Klafkowski, Okupacja niemiecka w Polsce z punktu widzenia prawa międzynarodowego). Prócz tego wyszło 6 tomów prac innemu już poświęconych problemowi, nie mniej aktualnemu, uzasadnieniu praw naszych i wysunięciu naszych postulatów wobec ziem zachodnich, t. I. M. Kielczewska i A. Grodek, Odra — Nissa najlepsza granica Polski (wyd. II), t. II — T. Lehr-Spławiński, O pochodzeniu i praojczyźnie Słowian, t. III — Z. Wojciechowski, Polska — Niemcy. Dziesięć wieków zmagania, t. IV — Z. Kaczmarczyk, Kolonizacja niemiecka na wschód od Odry, t. V — Praca zbiorowa, O lewy brzeg Odry, wreszcie t. VI — chwilowo ostatni — **Józef Mitkowski, Pomorze Zachodnie w stosunku do Polski.**

Zainteresowanie Pomorzem zachodnim jest dziś oczywiście niesłychanie duże. Zarówno teraźniejszością, jak i przeszłością. Obejmuje zarówno nowych tamże osadników, w praktyce codziennego życia stykających się z nowymi dla nich problemami, jak i teoretyków wszelkiego rodzaju, naukowców oraz działaczy, społeczników i polityków, w znajomości przeszłości szukających uzasadnienia postaw teraźniejszych i wytycznych na przyszłość. To też wśród tematów dziś aktualnych, wśród najpilniejszych potrzeb naszego społeczeństwa w zakresie wydawniczym, na jednym z miejsc najpierwszych leży to wszystko, co może informować o nieznanym nam niemal zupełnie Pomorzu Zachodnim. „Żadna chyba z ziem polskich — pisze we wstępie do swej pracy dr J. Mitkowski — nie zasługuje na nazwę ziemi zapomnianej w takim stopniu jak Pomorze Zachodnie". Wiele pisano o Śląsku, nie mało o Pomorzu gdańskim czyli wschodnim. O Pomorzu Zachodnim panowało u nas prawie zupełne milczenie. Gorzej, że cały świat nauczył się patrzeć na szeroki pas nadbałtyckiej ziemi między Odrą a Wisłą jako na kraj niemiecki". Dlaczego? Bo u nas było o nim cicho, a ze strony niemieckiej pisano bardzo dużo i dobór tematów był tego rodzaju, że stwarzał wrażenie całkowitej niemieckości tego kraju. To też dzisiaj, by móc wykazać, co w nim było polskie, trzeba wypełnić istniejącą lukę, przedrzeć się poprzez gąszcze źródeł drukowanych, dotrzeć do tych które dotąd pomijano, obalić błędy nauki niemieckiej, stworzyć własną syntezę w pracy naukowej, a następnie już na jej podstawie, dać też i popularny wykład o Pomorzu dla tych, którzy nie przeczytają prac ściśle naukowych.

Tym wszystkim zadaniom stawił czoło autor omawianej pracy. Podjął się rzeczywiście pionierskiej roboty, zakreślając jej przy tym szerokie granice. Sięga aż do źródeł, gdyż nikt ich dotąd nie opracowywał z tego punktu widzenia. Przytacza je dosłownie, w polskim tłumaczeniu na dowód prawdziwości swych tez, dla udokumentowania przykładami nie do zbicia, że to, co pisze o polskości Pomorza w odległej przeszłości, nie jest jedynie pobożnym życzeniem, lecz faktem nie ulegającym żadnej wątpliwości. Ze ścisłością naukowca daje czytelnikowi w rękę materiał, którym tenże może operować, poddając rozbiorowi i krytyce każde własne zdanie autora. Zarazem zaś z entuzjazmem odkrywcy nowych i dla siebie dziedzin dzieli się z czytelnikiem wszystkim tym, co odkrył, co jest ciekawe, co go uderzyło, daje wykład historii Pomorza zach. z punktu widzenia jego stosunku do Polski, w szeregu barwnych, jak gdyby obrazów, zaczerpniętych z dawnych kronik i dyplomów.

Może za wcześnie jeszcze na syntezę. Za dużo problemów wiąże się dla nas z Pomorzem Zachodnim. Cytowane przykłady, wybrane, by wykazać związki Pomorza z Polską, szereg analogii w urządzeniach społecznych, w życiu gospodarczym i wiele jeszcze innych, to nie jest pełna historia Pomorza, którą bezwzględnie odtworzyć musimy. To szereg pewników, kamieni węgielnych wzajemnych stosunków, wśród których po przez karty książki przewijają się także nieraz hipotezy, ugruntowania których lub też zbicia oczekujemy po pracach następnych. Książka Mitkowskiego nie zamyka okresu badań o Pomorzu. Przeciwnie, ona go właśnie zaczyna. Winna wywołać pośród naukowców burzę dyskusji na temat metody, swoistego ujęcia, — słusznego czy nie wykażą dalsze prace, — wynikłego w pełni, z braku poprzedników, z chęci wypełnienia tak dotkliwej luki, odwagi chwycenia za bary tematu potężnego, nieznanego a tak wartego poznania i spopularyzowania.

Ten cel ostatni nie jest najmniej ważnym. Podkreśla autor, że książkę pisze nie dla specjalistów, lecz dla ogółu polskiego społeczeństwa. Daje w niej wykład encyklopedyczny dziejów Pomorza od wieku VI, omawiając stosunek Pomorzan do Polan, potem zaś dzieje stosunku do Pomorza pierwszych książąt i królów polskich z dynastii piastowskiej — w okresie jednoczenia szczepów polskich i później w okresie rozbicia i jednoczenia znowu. Wreszcie czasy nowożytne „rozluźnienie węzła" i „pod rządami obcych". W przypisach genealogia książąt Pomorza zach. i Rugii. I szereg mapek. W sumie moc materiału. Trudno go tu omawiać dokładniej, gdyż trzeba by przepisać właściwie wszystko. Trzeba przeczytać, a czyta się jak powieść książkę od deski do deski, postawić na półce, zaglądać do niej od czasu do czasu, otrzaskać się z tematem bliskim uczuciowo, a tak mało znanym, i wreszcie przystąpić do krytyki — i do własnej pracy. To będzie największy sukces autora, jeśli po rozgłosie, jaki niewątpliwie zyska jego praca, potrafi szybko znaleźć naśladowców.

A. Kutrzebianka.

Prof. Eugeniusz Romer. Duch Polski Zachodniej. Kraków 1945. Uniwersytet Jagielloński i Akademia Górnicza. Str. 37.

Autor tej małej rozmiarami, ale pięknej treścią książeczki, nestor polskich geografów prof. E. Romer jest niestrudzonym szermierzem o ziemie zachodnie. Złożył na to liczne dowody w latach 1918 — 1921, gdy jako ekspert polskiego Komitetu w Paryżu walczył piórem o nasze prawa do Gdańska, Pomorza i Ziemi Mazurskiej. Jedna z najobszerniejszych jego prac naukowych pt. „Polacy na kresach pojeziernych i pomorskich" udowadnia na podstawie żmudnie zebranego i krytycznie opracowanego materiału statystycznego nasze prawa do tych ziem.

„Polski Atlas Kongresowy" ilustruje dorobek Romera i jego współpracowników podczas Kongresu Wersalskiego, wyrażony w postaci licznych map i kartogramów, uwzględniając szeroko nasze ziemie zachodnie. Wreszcie nie bezpośrednio, ale z jego szkoły i przez niego w pracach geograficznych wydana jest rozprawa dra Adama Dudzińskiego pt. „Polacy na Śląsku".

Zarówno tytuł, jak i niektóre ustępy w „Duchu Polski Zachodniej" mają nieco mistyczny charakter, niespotykany dotychczas w pracach autora, zwykle bardzo realnych i ścisłych, na statystycznym materiale opartych.

Ale mistycyzm „Ducha Polski Zachodniej" jest tylko pozornym. W rzeczywistości, autor stara się udowodnić swoją tezę o odrębnym charakterze ducha Polski Zachodniej cyframi statystycznymi, dotyczącymi ilości książek polskich, tudzież czasopism wydanych w głównych miastach Polski. Cyfry te z różnych lat pochodzące każą uważać autorowi „Ducha Polski Zachodniej" jako zjawą równie potężną, jak wielce złożoną i zawiłą..., który w pewnym momencie nakazał narodowi stłumić swoje myśli i marzenia..., który w r. 1920 „zaintonował hymn zwycięstwa", objawiający się przewagą ilości książek, wydawanych na Ziemiach Zachodnich Polski Przedwrześniowej nad resztą naszego kraju. Podobnie ma się rzecz z prasą codzienną, która ilościowo przewyższa nawet prasę warszawską.

Bardzo interesujące są na koniec wnioski, które autor wysnuwa ze statystyki osób wybitnych w Polsce. Z jej analizy wynika, że na Zachodzie Polski przeważają zainteresowania do nauk ścisłych, prawa i ekonomiki, tudzież techniki, przemysłu i handlu. Na wschodzie naszego kraju mamy zaś przewagę zainteresowań humanistyki, sztuki, polityki, i obrony kraju. Przeciwstawienia to na ogół znane, ale nie poparte dotąd żadnymi cyframi. Po raz pierwszy opiera tu autor swą charakterystykę na cyfrach.

Całość jest głęboko przemyślaną i ścisłą pracą naukową, mającą wybitne piętno oryginalności. Czyta się książkę z przyjemnością.

Mieczysław Woźnowski.

GŁÓWNE CYRRY NOWEJ POLSKI.
Próba prowizorycznego zliczenia 1945.
Wydawnictwo Instytutu Bałtyckiego.
Gdańsk — Toruń — Bydgoszcz.

Książeczka niniejsza zaspakaja i długo jeszcze będzie zaspakajać brak „Rocznika Statystycznego" i innych opracowań statystycznych, odnoszących się do Nowej Polski. Potrzeba ich bardzo w szkole, potrzebuje administracja, potrzeba do różnych naukowych opracowań i planowań.

O tym, jak były cyfry te potrzebne świadczy choćby historia wydania omawianej broszurki, opowiedziana w przedmowie. Nie była ona początkowo przeznaczona do druku, ale po wyczerpaniu jej powielanych egzemplarzy na liczne żądania wydano ją drukiem.

Dziś wprawdzie aktualną jest tylko pierwsza część książeczki, dotycząca powierzchni Nowej Polski, część trzecia zaś „Gęstość zaludnienia" wymagałaby uzupełnienia tabel wojewódzkich danych z ostatniego spisu ludności.

Również z powodu ogłoszenia tymczasowych danych tego spisu traci swą wartość rozdział II: „Ludność". Jednakże cyfry szacunkowe, dotyczące poszczególnych części Poski lub grup ludności zachowują nadal swą wartość. Ponieważ wynik spisu jest prawie identyczny z szacunkiem „Głównych cyfr" (ogólna liczba mieszkańców Polski według spisu 23.622.334, według książeczki 22 mlj..) należałoby przypuszczać, że i inne cyfry wydawnictwa odpowiadają istotnemu stanowi rzeczy.

Podnoszą wartość wydawnictwa tablice statystyczne, podające powierzchnię i liczbę ludności (przedwojenną) w poszczególnych powiatach i mapka podziału administracyjnego z dnia 7. VII. 1945 r.

Mieczysław Woźnowski

Kronika kulturalna Ziem Odzyskanych

SZCZECIN

TEATR:

Właściwie życie teatralne Szczecina jeszcze nie istnieje. To, co dotychczas w tej dziedzinie zrobiono, względnie co się robi, to dopiero peryferie teatru. Uruchomiony w grudniu ub. roku na pół zawodowy „Mały Teatr" nie rozwinął ani planowo przemyślanej linii repertuarowej, ani nie zadowolił grą artystów, improwizujących po amatorsku. Zresztą, „Mały Teatr" jest rzeczywiście mały i teatralnie i przestrzennie: mała scenka i mała widownia przypominają raczej jakiś gimnazjalny teatr. Powstały w maju Szczeciński Teatr Oświatowy, który zaczął inaugurację komedią polityczną Niemcewicza „Powrót Posła", jest właściwie innego rodzaju formą „Małego Teatru", zarówno pod względem inwencji jak gry aktorskiej, stojącej całkowicie na poziomie amatorskim. Świeżo ukonstytuowany Wojewódzki Oddział Teatru i Muzyki Ludowej nie ujawnił jeszcze ani swego oblicza ani zamierzeń, toteż nie można go brać jeszcze pod uwagę przy rozpatrywaniu życia teatralnego. Cała więc nadzieja i oczekiwanie publiczności zwrócone są na stały, z zawodowych aktorów złożony, „Teatr Polski", który mieści się w reprezentacyjnym gmachu przy ul. Swarożyca. Zarówno warunki zewnętrzne, jak i dobór aktorów, reżyserów i dyrektora zapowiadają, że Szczecin uzyska w tej placówce naprawdę teatr w istotnym tego słowa znaczeniu. Na 13 czerwca zapowiedziano nieodwołalnie premierę, na której istotnie dano komedię Al. Fredry „Damy i Huzary", w reżyserii J. Karbowskiego, długoletniego reżysera teatru im. Słowackiego w Krakowie. Kierownictwo teatru zdołało w szybkim tempie zmontować zespół zawodowych aktorów i zacząć próby, mimo trwającego jeszcze remontu i przebudowy całego gmachu. Sam fakt zaangażowania na gościnne występy aktorów tej miary, co Antoni Fertner lub Józef Węgrzyn oraz reżyserów: Chaberskiego E. i Teof. Trzcińskiego mówi jak najlepiej o teatrze. Zrozumiałą jest więc rzeczą, że inauguracyjne otwarcie Teatru Polskiego to zapoczątkowanie nowego życia teatralnego w Szczecinie. (ts)

„WALĄCY SIĘ DOM"

„Teatr Mały" w Szczecinie wystawił sztukę w 3-ch aktach Marii Mrozowicz-Szczepkowskiej pt. „Walący się dom". Sztuka pomimo pewnej zawiłości w problematyce społecznej posiada dość żywą akcję. Stara się ona pokazać rozkład rodziny ziemiańskiej i jej nową sytuację, powstałą w związku ze zmianami społecznymi. Gra artystów z trudem osiąga przeciętny poziom, nie mniej jednak widać pewien postęp w ich grze. Nieszczęściem teatru jest sufler, którego każde słowo słychać w najbliższych piętnastu rzędach.

„Teatr Mały" wyjeżdża od czasu do czasu w teren. Przewidziany jest stały, miesięczny objazd Pomorza Zachodniego. W przygotowaniu komedia „Niewiarowicza pt. „Gdzie diabeł nie może..." **(ts)**

LITERATURA.

Klub Literacko-Artystyczny, który skupił w swej organizacji około 60-ciu członków i z miejsca pozyskał kulturalną publiczność Szczecina, zainaugurował nowy etap życia kulturalnego w Szczecinie. Świadczył o tym drugi z rzędu „Czwartek Literacki" poświęcony w części artystycznej Sienkiewiczowi, z okazji jego stuletniej rocznicy urodzin oraz w części naukowej poświęcony słowiańskim pamiątkom Szczecina. Niezwykle ożywiona dyskusja, która się na ten drugi temat rozwinęła, ujawniła cały szereg mało znanych faktów oraz wykazała w sposób znamienny, że wśród kulturalnej publiczności Szczecina istnieje „głód historyczny" pamiątek słowiańskich. Fakt ten ilustruje z jednej strony potrzebę zapełnienia chwilowej pustki tradycyjnej tego terenu, z drugiej zaś wzrastające wymagania kulturalne. Nic więc dziwnego, że zebrani poparli gorąco projekt urządzenia popularnej, ale na naukowych podstawach opartej, wystawy poświęconej pamiątkom i dokumentom historycznym Pomorza Zachodniego. Wystawa ta pod hasłem „Jesteśmy tu od tysięcy lat" spopularyzowałaby ideę polskości tych ziem. Do przygotowania tej wystawy powołani już zostali wybitni fachowcy nietylko ze Szczecina ale i z Poznania. (ts)

MUZYKA:

Maj przyniósł w Szczecinie poza licznymi, okolicznościowymi koncertami — trzy imprezy muzyczno-wokalne. Pierwszą był wieczór koncertowo-wokalny, urządzony 3-go Maja, na którym wykonano utwory Moniuszki, Dworzaka, Jordaniego, Rossiniego, Leoncawalla, Mozarta — drugi wielki koknccrt, urządzony 11. 5., w którym wystąpiły: primadonna oper polskich, J. Huppertowa i Irena Gadejska, artystka operowa. Obie imprezy utrzymane były na wysokim poziomie. Trzecim wreszcie koncertem był występ młodego skrzypka — wirtuoza R. Rutkowskiego. Jest to samorodny talent, bez oficjalnego patentu muzycznego, niemniej jednak rokujący duże nadzieje.. (ts)

PLASTYKA:

Plastycy szczecińscy nie wykazali w maju większej aktywności. Większość ich pracuje przy renowacji wojewódzkiego gmachu, który ma otrzymać reprezentacyjny charakter polski. Jeśli chodzi o sprawy organizacyjne, to Związek Plastyków postanowił nie weryfikować sam swych członków, lecz oddać te sprawy do Oddziału Gdańskiego. Należy uznać to za krok świadczący o odpowiedzialności Związku, który pragnie być objektywnym w tak drażliwej sprawie, jaką jest weryfikacja członków Związku. (ts)

PRZENIESIENIE SIEDZIBY CENTRALI PZŻ DO SZCZECINA.

Władze centralne Polskiego Związku Zachodniego rozważają projekt przeniesienia siedziby Zarządu Głównego Związku z Poznania do Szczecina. Projekt — za którym wypowiedziała się większość członków Zarządu — wypłynął z konieczności ścisłego związania działalności terenowej P. Z. Z. z akcją repolonizacji obszarów Ziem Odzyskanych. Władze PZZ. zdecydowały również z tego powodu, iż Szczecin w najbliższej przyszłości będzie największym ośrodkiem miejskim na Ziemiach Odzyskanych oraz potrzeba należytego bezpośredniego przeciwdziałania wpływom i zakusom niemieckim na tych obszarach, a w szczególności na polskim wybrzeżu Bałtyku. Znaczne oddalenie Poznania od rubieży zachodnich, w znacznym stopniu utrudniało niektóre zadania i prace P. Z. Z.

Społeczeństwo szczecińskie życzliwie wita ten krok władz P. Z. Z., a Zarząd Miejski niewątpliwie dołoży wszelkich starań, by instytucja ta otrzymała dla swych celów odpowiednią siedzibę, a jej pracownicy lokale mieszkalne. (ts)

SZCZECIN RATUJE PIASTOWSKIE ZABYTKI

Ministerstwo Kultury i Sztuki przyznało kredyt w wysokości 450.000 zł. na zabezpieczenie szeregu budowli zabytkowych w Szczecinie.

Jeszcze w m. czerwcu podjęte będą prace w kaplicy zamku piastowskiego. Wspaniały ten zamek z XII wieku został częściowo zniszczony w czasie działań wojennych. Przez ułożenie prowizorycznego dachu zabezpieczone będą piękne renesansowe sklepienia kaplicy zamkowej oraz położona przy niej stara wieża... W kaplicy tej spoczywały prochy piastowskich książąt szczecińskich. Sklepienia nad kaplicą i galerią grożą wskutek zacieków i obciążenia gruzem w każdej chwili runięciem.

W Starym Ratuszu będącym najdawniejszą budowlą gotycką, wobec skromnych funduszów zabezpieczy się jedynie część sklepień i murów grożących całkowitym zniszczeniem. Zachowały się tam częściowo parterowe sklepienia gotyckie, dawne podcienia oraz dwie salki o sklepieniach krzyżowych wspartych na jednej kolumnie.

Jednocześnie przeprowadzi się remonty dachów oraz oszklenie dwóch najstarszych szczecińskich kościołów: św. Piotra i Pawła przy pl. Żołnierza Polskiego oraz św. Jana nad Odrą.

Przyznane kredyty są nie wystarczające na należyte zabezpieczenie licznych godnych ratowania zabytków piastowskiego Szczecina. Oczekiwać należy, że Min. Kultury i Sztuki przyjdzie z dalszą wydatną pomocą finansową, by jeszcze przed zimą mogły być wykonane najpilniejsze roboty. (ts)

KOSZALIN

To zdegradowane z wojewódzkiej godności miasto wykazuje jednak dość żywą działalność kulturalną, jak świadczy o tym bilans teatralny. Wojskowy Teatr Objazdowy wystawił w Koszalinie sztukę, będącą przeróbką „Placówki" Prusa. Amatorski teatr ze Słupska wystawił w Koszalinie komedię „Gałganek" w przekładzie J. Iwaszkiewicza. Oprócz tego czynne jest w Koszalinie Towarzystwo Miłośników Teatru.

BIAŁOGRÓD

Muzeum w Białogrodzie jest już niemal w całości uporządkowane, tak że jego otwarcie może nastąpić w najbliższych miesiącach.

KAMIEŃ

W Kamieniu znajdują się cenne zbiory przy ocalałej katedrze i tworzą t. zw. muzeum katedralne. Zbiory są dostatecznie zabezpieczone przez miejscowego proboszcza, lecz wymagają inwentaryzacji i uporządkowania. Sam budynek katedry wymaga remontu, skutkiem dużego uszkodzenia dachu. Znaleziony w Kamieniu, w kościółku cmentarnym, ołtarzowy obraz Wieczerzy Pańskiej, prawdopodobnie z XVI wieku przewieziono do muzeum w Szczecinie. (ts)

KOŁOBRZEG

Cenny skarbiec pamiątek w Kołobrzegu. W Kołobrzegu dokonano na polecenie dr. prof. Piwockiego otwarcia skarbca pod ratuszem. W wyniku tego otwarcia znaleziono szereg rzeczy zabytkowych, które obejmują około 55 pozycji, między innymi srebrne puchary z XVII wieku, epitafia nagrobkowe, kilka cennych obrazów, dużą ilość starej, berlińskiej porcelany. Poza tym sprowadzono do Szczecina z Kołobrzega 2 męskie portrety z XVII wieku, drzeworyt przedstawiający postać św. Hieronima oraz kołatkę ze zniszczonej katedry kołobrzeskiej. (ts)

WROCŁAW

Wieczór autorski Bogdana Ostromęckiego. Towarzystwo Miłośników Literatury i Języka Polskiego we Wrocławiu gościło na swym ostatnim „Czwartku Literackim", 30.5. bm. młodego poetę z Warszawy — Bogdana Ostromęckiego.

Bogdan Ostromęcki należy do grupy poetów warszawskich „Próg". Kilka młodych osób z „braci literackiej", może raczej adeptów tej sztuki, z zapałem godnym sprawy, dokumentuje swą aktywną postawę twórczością i publicystyką na łamach „Tygodnika Warszawskiego", „Dziś i Jutro", „Odnowy". Już z charakteru tej prasy łatwo przewidzieć, że drogą, po której biegną ich wysiłki jest osiągnięcie pełni wyrazu na podstawach etyki chrześcijańskiej.

W ramach wieczoru autorskiego we Wrocławiu odczytał Bogdan Ostromęcki szereg wierszy.

Pierwsza część — to utwory wyjęte z przygotowanego do druku tomu „Światło nad ruiną" — pisane w latach 1940 — 43.

Część druga obejmowała kilkanaście również drobnych wierszy, treściowo stanowiących w stosunku do siebie pewną całość wynikową.

Stronie formalnej wieczoru można by zarzucić nieco przydługie komentarze do odczytywanych wierszy. Poeta twierdzi, że wraz ze swymi kolegami, z powodzeniem stosuje ten eksperyment. Mam jednak wrażenie, że cechą ujemną tych komentarzy, które słyszałem, była ich zbyt górnolotna gadatliwość.

Gdy napisałem już to straszne dla dzisiejszego poety słowo, muszę określić to znamię i w samej poezji Bogdana Ostromęckiego.

Poezja Czechowicza, czy nawet Przybosia stara się głównie metaforą, obrazem, niekontrolowaną fantastyką nakreślić wykres uczucia w stosunku do idei wiersza. I to, poza nielicznymi na wyżynach skamandrytami, jedyny sposób, według którego wypowiada się treść, zagadnienie.. Ostromęcki zdaje się odbiegać od tej formy. Problematyka jego wierszy jest zamknięta w konkretnych stwierdzeniach, charakteryzowana najczęściej bezpośrednio. Nie trudno się domyśleć, że wiersze, pisane w okresie okupacyjnym, nasiąknięte są specyficznym nastrojem przygnębienia, buntu, walki. Czasem przewija się subtelna nić wspomnienia dobrego, spokojnego, tym bardziej jaskrawego przy obrazach gwałtu i przemocy okupanta.

I tak w wierszach wybranych z tomu „Światło nad ruiną", pierwsze narzucają nastrój nawet beznadziejności, z wątłym echem woli przeciwdziałania. Echo to w różnych nasileniach odbrzmiewa we wszystkich wierszach by wreszcie owładnąć końcowym utworem zbioru.

Wiersze drugiej części, pisane w latach późniejszych, okupacji i po wyzwoleniu, starają się rozstrzygnąć wielkie zagadnienia. Po „Młodą Polskę" o kwestiach pierwszoplanowych na terenie moralności, mówiło się bezpośrednio, prosto lub zawile. Wdrożeni w bieg myśli, w poziom zagadnień ostatniej poezji, odwykliśmy od wielkich słów. Patos jest niemodny, biblijne gadulstwo barwne, ale nudne. O abstrakcjach najpoważniejszych mówiło się „mimochodem", bez słowiańskiej „bezwstydnej" otwartości.

Wielkie wzruszenia przeżywa na wytartych kartach Tristan, Konrad, Anhelli. Stąd może pochodzi niejakie zażenowanie wobec szczerości Ostromęckiego, który mówi o tym, co istotnie przeżywa.

Stąd też (u niego) brak dojrzałego sposobu wypowiadania. Krótkość osiąga poeta nie przenośnią, ale dość sztucznie skracaną składnią, co wydaje się dziwną oszczędnością wobec rozwlekłości stylu i licznych powtórzeń, utartych, patetycznych zwrotów, zaraz obok. **H. D.**

OPOLE

Opole — w płaskorzeźbie. Ścianę reprezentacyjnej sali opolskiego ratusza zdobi interesująca płaskorzeźba współczesnego artysty śląskiego Mehla, przedstawiająca Opole, w wieku XVII. Płaskorzeźba wykonana jest w tynku, według oryginalnego sztychu z wieków ubiegłych.

Zapiski teatralne z Opola. Ścibor wystąpił w roli rittnerowskiego donjuana? Hm... Nie będziemy analizować różnicy, między skomplikowanym **problemem psychologicznym** postaci Hrabiego z dramatu Rittnera, a prymitywem jej „scenicznej formułki", w opracowaniu Ścibora. Efekt — zawsze jest jeden: u Rittnera mamy d o n j u a n a, a na scenie był... Ścibor, bezprzecznie uzdolniony reżyser i aktor teatru opolskiego, lecz na tym odcinku, jakże dwie różne, odległe wartości. Współudział innych wykonawców nie podtrzymuje artystycznie tej imprezy. Bakka, w roli Zuzanny, musi wyzbyć się płaczliwości, a Korolewiczówna dopiero wtedy będzie Krystyną, gdy pogłębi zasady gry aktorskiej w dramacie. Profesor i Sekretarz zagrali „zdawkowo", bez wyraźniejszego udziału w spektaklu. Najlepszą postacią wieczoru — Hania. w żywym ujęciu Kulikówny.. — Równocześnie z niefortunnym „Don Juanem" Rittnera-Ścibora, wystawiono lekką komedię Niccodemiego, „Gałganek". Treść — wywija się z tytułu, a kulisami sprawy: rzymska ulica. Wszystko w wymiarze pogodnego humoru, nie bez akcentu wzruszenia i swoistej myśli przewodniej.. że Gałganek, taki gałganek, a jakiż to człowiek! Owszem... Nowiczówna (w roli głównej) wnosi na scenę element świeżej szczerości i jest aktorką zdolną. Zdanowicz starał się być Fartim, z pełnym niekiedy powodzeniem, — wiele cech wspólnych z Emilią miała Bolska, dobry w typie był Hupałła, jako Buritti, i wyjątkowo udatnie zarysowuje się sylwetka Loweasa. Reżyseria (Zdanowicza) sprawna, tempo odpowiednie, sceny końcowe w akcie trzecim — pełne wyrazu, życia i nastroju. Wrażenie na ogół dodatnie. Ale — i tutaj jest „ale": Jerzmanowska, w roli Franki — sztywna, Posiadłowski (Benini) monotonny, a Kelner-Herby: w słowie i geście ograny. Wiele też pozostawiają do życzenia dekoracje, stereotypowe w I i II akcie „Gałganka". Teraz, **gdy teatr opolski wszedł w okres rzeczywiście interesujących osiągnięć, i ma w dorobku pozycje tak wartościowe, jak „Madame Sans-Gene" i inne, — opadać nie wolno!** **W. Hlouszek**

UDZIAŁ OPOLA W WYSTAWIE ŚLĄSKIEJ PIEŚNI LUDOWEJ

Muzeum Ziemi Bytomskiej sposobi Wystawę Śląskiej Pieśni Ludowej, dla Chorzowa, Katowic, Wrocławia, Opola, Krakowa, Poznania i Warszawy. Zebraniem eksponatów, śpiewników i rękopisów z pieśnimi w powiecie opolskim zajął się pow. zarząd chórów ludowych, w porozumieniu z kierownictwem opolskiego Referatu Kultury i Sztuki. **(hl)**

Rozstrzygnięcie konkursu na sztukę dla świetlic górniczych

PROTOKÓŁ

z końcowego posiedzenia jury konkursu na sztukę dla świetlic górniczych, ogłoszonego przez Związek Zaw. Literatów Polskich w Katowicach ze współudziałem Centralnego Zarządu Przemysłu Węglowego w dniu 19-go czerwca 1946 r.

Obecni: Dr. Jerzy Koller, Zdzisław Pyzik, red. Wilhelm Szewczyk z ramienia ZZLP. red. Mieczysław Markowski z ramienia CZPW. Ogółem wpłynęło 130 prac.

Jury po zaznajomieniu się z treścią zapoznanych prac postanowiło jednogłośnie nie przyznać pierwszej, drugiej i trzeciej nagrody, lecz wyróżnić 9 (dziewięć) prac opatrzonych nast. godłami:

1. Godło „Abedi" — Węgiel! Węgiel! 2. „Barbórka" — O górniku Harendzie; 3. „Eza" — Katastrofa w kopalni; 4. „Kanut" — Powrót; 5. „Pod śląską strzechą" — Ostatnia szychta; 6. „Reportaż z piekieł" — Reportaż z piekieł; 7. „Silesia" — Górnicza dola; 8. „Trzeci z załogi" — Płomień w czarnym szybie; 9. „Trzynastka" — Czarcie odwiedziny — i autorom wyróżnionych prac przyznać nagrodę w wysokości zł. 3.000 za każdą pracę.

Po otwarciu kopert okazało się, że autorami wyróżnionych prac są:

1. Godło „Abedi" — Edward Góra, Jarocin Poznański — Gimnazjum Państwowe; 2. „Barbórka" — Pełczyński Władysław, referent socjalny przy kopalni Rymer, Niedobczyce, ul. Adamskiego 1, pow. Rybnik; 3. „Eza" — Eligiusz Zagórski, Kraków — Wola Duchacka, ul. Kościuszki 163; 4. „Kanut" — Władysław Basilides, Bielsko, ul. Limanowskiego 29; 5. „Pod śląską strzechą" — Halina Chmielewska, Katowice III, ul. Klonowa 12[14]; 6. „Reportaż z piekieł" — Piotr Lubosik, Brzozowice-Kamień, ul. Oświęcimska 202, pow. Tarnowskie Góry; 7. „Silesia" — Tomasz Szyfers i Emil Kadlec, Bytom, ul. Prusa 6, II p.; 8. „Trzeci z załogi" — Maryta Morsztynkiewicz - Czermińska — Warszawa, Pierackiego 13[8]; 9. „Trzynastka" — Stefania Zawadzka, Dolny Śląsk, Ząbkowice, ul. Zamkowa 15/3.

Nagrody zostaną wysłane pocztą w terminie do dnia 1. lipca br. Po prace nie nagrodzone autorzy mogą się zgłosić do Sekretariatu ZZLP. przy ul. 3-go Maja 36 a w godz. od 8-ej do 19-tej w terminie do dnia 1. 8. br. ewentl. żądać zwrotu rękopisów z podaniem nazwiska, godła, adresu i tytułu prac.

Jubileusz St. Dębicza

Teatr Miejski w Sosnowcu. — 30-lecie pracy aktorskiej i reżyserskiej Stanisława Dębicza. — Robert de Fleurs i G. A. Caillavet: „Papa". Komedia w 3 aktach.

Każdy podobno wiedział na Śląsku przed wojną, że Sosnowiec przy wszystkich swoich zaletach i wadach, posiadał dobre nocne lokale i dobry teatr. Ciekawe skojarzenie, prawda? Tym ciekawsze, że dzięki sile tradycji utrzymało się do dziś, choć jest rzeczą pewną, że rzeczywistość obecna musiała zmienić i sosnowieckie tradycje. Nie wiem jak tam jest teraz z nocnymi lokalami, chyba nie są już tak „dobre" jak przed wojną, co się zaś tyczy teatru, to nie ryzykując oceny ogólnej, wymagającej śledzenia całokształtu pracy przez kilka miesięcy, stwierdzę, że odznacza się on dwiema cechami: ambicją w doborze sztuk i powodzeniem u publiczności.

A to już wiele. Owo „wiele" jest właśnie w olbrzymim stopniu zasługą **Stanisława Dębicza,** reżysera i aktora o kulturze równej doświadczeniu nabytemu podczas 30 lat pracy scenicznej we wszystkich niemal polskich teatrach.

On właśnie dał sztuki świadczące o ambicjach teatru sosnowieckiego, mianowicie: „Zaczarowane koło" L. Rydla (największa ilość przedstawień), „Śluby panieńskie" i „Zemstę" A. Fredry.

Dębicz jest specjalistą inscenizacji komediowych, posiada niezwykłe wyczucie komizmu sytuacyjnego, to też nawet słabsze sztuki tego gatunku, zyskują w jego niezawodnej reżyserii lekkość i wdzięk.

Nie należy się więc dziwić, że na swój jubileusz wybrał (jakże szczęśliwie): „Papę" Fleura'a i Caillaveta, komedię, posiadającą pełny ładunek talentu tej ulubionej i najpopularniejszej przed laty spółki autorskiej, a tak doskonale „leżącą" w jego typie aktorskim i reżyserskim. Jest to komedia o dużym rozmachu i kapitalnym pomyśle, odświeżającym w ujęciu temat stary jak świat. miłość. Zwykle wszystkie cechy pozytywne zawiera w sobie młodość, a już w miłości młodość zwycięża bezwzględnie. W „Papie" jest przeciwnie, młodość jest nijaka, bezkrwista, banalna — dziewczyna, narzeczona Jana Bernard oddaje swe serce jego papie. Najmilsze jednak jest to, że cała zamiana odbywa się bez poświęceń i melodramatycznych łez, że wszyscy są zadowoleni i że w akcji nie biorą udziału ludzie niesympatyczni, wszystko jest miłe, swobodne, żywe — nie tyle prawdziwe, ile właśnie prawdopodobne, t. zn. takie, jakie w sztuce być powinno.

Rolę „Papy" koncertowo zagrał Jubilat. Pokazał on, jak powinien wyglądać rasowy „amant", jak zdobywa się miłość i odbija narzeczoną 20-paruletniemu młodzieńcowi. Takiego amanta może zrobić tylko stary, doskonały aktor.

Z reszty zespołu, tuż po Dębiczu należy wymienić **Mariana Mariańskiego,** który dał pierwszorzędną sylwetkę proboszcza Jocasse. Reszta zespołu starała się ze zmiennym szczęściem dorównać tej kapitalnej parze. Syna „naturalnego" (jak chciał nieszczęśliwy tłumacz sztuki) grał **S. Kossowski,** przyjaciela „Papy" Charmeni'a — **S. Kruzer.** Dużo wesołości wnosił służący Aubrin w interpretacji **S. Miedzińskiego.** W epizodach notariusza i lokaja ukazali się **W. Szczekocki** i **R. Ośniałowski.**

Panie miały małe pole do popisu, to też spisały się bez zarzutu. Naciekawszą rolę Georginy miała **Z. Maskowska,** zabójczej Koletty — **W. Laskowska,** wdzięcznej Joasi — **H. Turska** i Lucyny **H. Krzyżanowska.**

Doskonała reżyseria **Stanisława Dębicza** zatarła wszystkie niedociągnięcia, wynikające ze skromnych środków (dekoracje), jakimi dysponuje teatr w Sosnowcu.

Bogdan Butryńczuk

Patrzymy na ekran

Zobaczyliśmy ostatnio na naszych ekranach równocześnie dwa filmy amerykańskie — „Jezebel" (kino Casino) i „Honolulu" (kino Rialto i Słońce) Oba są przedwojenne i oba reprezentują dobrą klasę zaoceanicznej produkcji. Jezebel, Betty Davis — to jedna ze szczytowych kreacji tej utalentowanej aktorki. Akcja filmu, pełna dramatycznego napięcia pokazuje wielkość kobiecego serca, które zdobywa się na największe poświęcenie w dniach wielkiej próby. Bardzo ekspresyjne są sceny zbiorowe, przedstawiające panikę amerykańskiego miasta w XIX wieku (to dla Amerykanów jest już niemal średniowieczem). Doskonale podpatrzono tu psychologię tłumu w dniach zarazy (przypominamy podobną tematykę w niedawno wyświetlonym „Niewidzialnym wrogu"). Interesującym byłoby zestawienie zachowania się nieugiętej duszy kobiecej i męskiej w obliczu jednakowego niebezpieczeństwa. Rzucamy ten drogocenny pomysł bez pretensji do odszkodowania, aby widzów zachęcić do refleksji.

„Honolulu" z Eleonorą Powell, to zabawna przekładanka piosenek, tańców, rytmiki oraz dobrego humoru. Zwłaszcza humor, nie prostacki, czasem — o dziwo — irracjonalny, jest tu świetnym klejem, trzymającym mocno poszczególne porcje tego puddingu (kapitalna scena z murzynem, zupełnie niesamowity dowcip przyjaciółki Eleonory). Dodajmy do tego hawajski, autentyczny księżyc, pieśni przy ukulele (już mniej autentyczne) oraz egzotyczny „hula, hula", a będziemy mieli cały film.

„Honolulu" jest naprawdę przyjemną komedią. Uwaga dla niewtajemniczonych — nie przychodźcie na ten film z towarzyszkami, bo nie będziemy im mogli poświęcić zbyt wiele uwagi — za wiele trzeba się śmiać.

Z kolei, jak zwykle, parę nowin filmowych. W najbliższym czasie zobaczymy na naszych ekranach kilka nowych filmów francuskich, zakupionych ostatnio przez „Film Polski". Na początek pójdzie jeden z najlepszych obrazów powojennej produkcji francuskiej — „Skarb rodziny Goupi". My jednak uparcie czekamy na „Nadzieję" i „Wrota nocy". Chcemy zobaczyć Jean Gabin.

20 czerwca zaczyna się w Katowicach i innych miastach Polski festiwal najnowszego filmu radzieckiego. Zobaczymy w tej ciekawej imprezie obrazy tej miary co — „Wielki przełom" z Dzierżawinem w roli głównej, „Maskaradę" oraz „Powrót".

Równocześnie też dowiadujemy się, że w Mediolanie odbędzie się wielki festiwal, w którym wezmą udział wszyscy więksi producenci filmowi świata. Ukażą się tam najciekawsze filmy Ameryki, Anglii, Z. S. R. R., Francji, Włoch i Szwecji. Nie będzie to oczywiście połączone z oceną czy wyróżnieniem najlepszych obrazów danej produkcji jak przedwojenna „Biennale" weneckie, ale w każdym razie zazdrość możemy Mediolanowi, że zobaczy kwiat współczesnej produkcji filmowej.

1 czerwca br. „Film Polski" w Łodzi zaprosił do siebie dziennikarzy Polski centralnej i łódzkich, dla zapoznania ich z pracą i osiągnięciami naszej współczesnej produkcji filmowej. Goście, wśród których znalazł się również angielski reżyser filmowy Marshall, zwiedzili fabrykę urządzeń kinotechnicznych, oraz urządzenia polskiego atelier filmowego i laboratorium „Filmu Polskiego". Wieczorem odbyła się konferencja prasowa, na której poruszono wiele istotnych zagadnień polskiej kinofikacji, jak krytykę naszej produkcji filmowej, która musi walczyć z takimi trudnościami, jak brak surowców (taśmy), dalej, brak scenariuszy, słaba sieć kinofikacyjna kraju itd. Ponieważ zaś na zakończenie dyr. „Filmu Polskiego" płk. Aleksander Ford poruszył sprawę współpracy prasy z „Filmem Polskim", dodajemy od siebie:

Dajcie nam jak najwięcej dobrego materiału filmowego, a na pewno wszystkie walory pracy naszej produkcji filmowej podkreślimy i rozpowszechnimy. Jak najchętniej...

Ale jednak ten materiał trzeba dać...

Alba.

Glossy i notatki

LUDNOŚĆ NA ZIEMIACH ODZYSKANYCH

Zeszyt specjalny „Wiadomości Statystycznych", wydawanych przez Główny Urząd Statystyczny, podaje tymczasowe wyniki powszechnego sumarycznego spisu ludności z dnia 14 lutego 1946 r. Interesują nas cyfry dotyczące stanu ludności na Ziemiach Odzyskanych.

Najtragiczniej pod tym względem przedstawia się okręg mazurski. Są tu powiaty, w których na jeden kilometr kw. mieszka zaledwie sześciu ludzi, należą do nich Gierdawy i Węgobork, 9 ludzi na 1 km kw. przypada na Gołdap i Pisz, który ma 1684 km kw. powierzchni. Największą gęstość zaludnienia posiada obwód Ządzbork, bo 28 ludzi na 1 km kw. Powierzchnia jego zaś wynosi 1232 km kw. Miasto Olsztyn ma 29.055 mieszkańców. W woj. gdańskim jest już pod tym względem lepiej, tu najmniejszą gęstość zaludnienia posiada elbląski (15 osób na km kw.).

Na Pomorzu Zachodnim największą gęstość zaludnienia posiadają wyspy Uznam Wołyń bo aż 55 osób na km kw. Stosunek ten ulegnie zmianie po wysiedleniu wszystkich Niemców z tego terenu. Miasto Szczecin liczy 73.854 mieszkańców a razem z powiatami Waleckim i Zagórzem posiada powierzchnię 1365 km kw. Najmniejsze zaludnienie posiada powiat Kamień bo na 1138 km kw. mieszka zaledwie 10.874 mieszkańców, co oznacza 10 osób na km kw. Nie wiele większe zaludnienie posiadają ponad to trzy inne jeszcze powiaty Pomorza Zachodniego. Te cyfry krzyczą, domagają się wzrostu.

Śląsk Dolny wykazuje dużą rozmaitość w rozmieszczeniu materiału ludzkiego na swych rozległych terenach. W powiecie Żegań na 717 km kw. przypada zaledwie 12.960 mieszkańców a więc 18 osób na km kw. Tymczasem powiat jeleniogórski na 663 km kw. ma 92.944 mieszkańców.

Mniej więcej równomiernie zaludniony jest Śląsk Opolski. Najmniejsze zaludnienie posiadają tu obwody grodkowski i niemodliński (36.568 i 33.325 mieszkańców z gęstością zaludnienia jednak 70 i 55 na km kw.) **Brz.**

III SESJA RADY NAUKOWEJ DLA ZIEM ODZYSKANYCH

Był to aeropag polskiego świata nauki i kultury. Ponad 80 uczonych i przedstawicieli ministerstw obradowało w dniach od 16. do 19. w Krakowie nad zagadnieniami Ziem Odzyskanych i powiązania ich z Macierzą najtrwalszymi węzłami. Podczas gdy przedrokiem niemal owocem sesji było 14 referatów naukowych, stanowiących źródłowe, podstawowe opracowania różnych problemów osadniczo-przesiedleńczych, sesja II posiadała już prac 22, a trzecia zebrała aż 39 dysertacji naukowych na tematy specjalnie dobrane, potrzebne dla przeprowadzenia praktycznych akcji państwowych i społecznych. Jest nieocenioną zasługą dyrektora Rady **dr Rajmunda Buławskiego** zorganizowanie tej jedynej chyba w Europie instytucji, pomyślanej jako naukowa baza planowania dla potrzeb Narodu i Państwa, **dla potrzeb niesłychanie doniosłych i pilnych.**

Na ostatniej sesji dużo uwagi poświęcono m. in. sprawom kultury na Ziemiach Odzyskanych, poruszając to palące zagadnienie w sposób wszechstronny i odważny. Okazuje się, że wciąż jeszcze sytuacja pod tym względem jest zła. Do sprawy tej powrócimy.

Zby.

CZYTAMY PRASĘ

Przeciętny inteligent w Polsce uważa za punkt honoru czytywać stale jakieś pismo literackie lub ogólnokulturalne. To stanowisko jest słuszne i my w „Odrze" powinniśmy się z tego tylko cieszyć. Ale nas to nie cieszy. Albowiem dopiero wówczas będziemy spokojni o przeciętnego inteligenta polskiego, gdy ten inteligent obok pism literackich będzie się żywo brał do lektury pism także z branży... gospodarczej. Tak. Wiadomości nasze o sprawach gospodarczych są zbyt nikłe, może nawet zbyt... żadne. Dlatego też apelujemy o poszerzenie ambicji rzesz literackich, zwłaszcza, że dziś np. trudno się zachwycać Żeromskim, Conradem, pięknem morza, starożytnością zabytków, powiedzmy, gdańskich, przy równoczesnym zapoznawaniu zagadnienia: w jaki sposób my ten Gdańsk urządzimy i jak owo morze handlowo wykorzystamy.

Uwagi te wypowiadamy a propos pierwszego numeru czasopisma zatytułowanego **„Morski Przegląd Gospodarczy"**, wydawanego przez Izbę Przemysłowo-Handlową w Gdyni. Jest to pismo o poziomie wysokim i godnym sprawy, której zamierza służyć. Najkapitalniejszymi wydają się być tu dwie prace, mianowicie mgr. Kazimierza Zagórnego pt. „Zagadnienie tranzytu w gospodarce morskiej", oraz „Stocznie polskie na tle zagadnień gospodarczych kraju" inż. Witolda Umiastowskiego. Inż. Umiastowski podnosi problem stworzenia na naszym wybrzeżu odpowiedniego przemysłu okrętowego. Problem ten porusza na tle ogólnoeuropejskim, ilustrując go szeregiem ciekawych cyfr. W pewnym miejscu pisze:

„Winniśmy dążyć do tego, by stocznie nasze mogły się specjalizować możliwie w wąskim zakresie budownictwa okrętowego, lecz by to było możliwe, musimy posiadać dobrze rozwinięty przemysł pomocniczy, zdolny do wykonania całych zespołów, gotowych do zmontowania na statek. Biorąc pod uwagę brak przemysłu pomocniczego, należy przypuszczać, że Stocznie będą zmuszone podjąć produkcję różnych artykułów, wbrew swym zamierzeniom i nawet możliwościom, lub też uciekać się do zakupu niezbędnych mechanizmów zagranicą.

Otóż konieczne jest podjęcie kroków w celu nadania odpowiedniego kierunku rozwoju poszczególnym przedsiębiorstwom przemysłowym kraju. Zjawia się potrzeba uruchomienia uruchomienia na Wybrzeżu produkcji wind okrętowych, braszpli, pomp, wyciągów do popiołu, maszyn sterowych, armatury kotłowej i maszynowej, takelunku lin, łańcuchów itd".

„Morski Przegląd Gospodarczy" prowadzi prócz tego działy: „Porty — Żegluga — Stocznie", „Rybołóstwo — Przemysł Rybny", „Przegląd Ustawodawczy" i „Przemysł — Handel — Rzemiosło". Adres: Gdynia ul. Świętojańska 17.

Kiedy już jesteśmy przy morzu — sygnalizujemy świeży zeszyt miesięcznika marynistycznego pt. **„Marynarz Polski"**. Zeszyt jest bogato ilustrowany i zawiera wiele materiału ciekawego, zwłaszcza dla młodzieży starszej. Razi jedynie b. słaby wiersz („Do koleżki przez mgłę"), tudzież brak dobrej, literackiej prozy marynistycznej. Czy ma się wstydzić Redakcja „Marynarza" czy literaci?

O świecie pracy myśli się i mówi jako o **masie.** Najczęstsze to podejście do ludzi fabryk, kopalń i hut, podejście, które krzywdzi. Robotnicy kwalifikowani i niekwalifikowani zbierają dziś niejednokrotnie pochwały, ae te pochwały czyni się kolektywnie. Tymczasem świat pracy, czyli t. zw. szare masy robotnicze, składają się ze zindywidualizowanych ludzi, z jednostek często bardziej godnych pióra i pomnika niż piłkarze czy nawet politycy. Nazwiska piłkarzy i sportowców znamy, lecz czyż nie słuszniej było by znać nazwiska różnych dzielnych majstrów, górników lub działaczy rad zakładowych? Dobrze, że Maria Jarochowska w nr. 24 **„Odrodzenia"** (z dn. 16. VI.) przybliża nas do tego zagadnienia, pisząc w artykule reportażowym („Ludzie, którym nie stawia się pomników") o niektórych zjawiskach życia fabrycznego, zresztą tak silnie powiązanych z odbudowującym się Państwem.

Zmarł 16 bm. Józef Feldman, znakomity historyk polski, zwłaszcza zasłużony w badaniach problemów polsko-niemieckich. Zanim tębolesną stratę omówimy w osobnym artykule, przytaczamy niżej notatkę z artykułu A. Mauersbergera z krakowskiego **„Dziennika Polskiego"** (z 18. VI., nr. 165), w którym czytamy.

„Był on nadzieją nauki polskiej i dziejopisarstwa współczesnego. Należał do generacji uczonych, która łączy młody jeszcze wiek z zasobem wiedzy, umożliwiającym wychowanie następnego pokolenia historyków oraz własną pracę badawczą i pisarską twórczość. Feldman wyróżniał się znakomitą erudycją, niezmordowaną pracowitością, nowoczesną metodą badawczą, szachetnością słowa i rzeczą nie częstą pośród historyków młodego pokolenia, niewątpliwym talentem pisarskim. Poza drobnymi studiami, poza wzorowym rozdziałem o rewolucji francuskiej w zbiorowym opracowaniu dziejów powszechnych w wydawnictwie Trzaski, praca o sprawie Polski w 1840 r. stanowi trwały wkład w naszą historiografię. Ale dopiero obszerna praca o Bismarcku i Polsce, dająca z racji rozległego wstępu pogląd na zagadnienie: Polska—Niemcy, dopiero ta praca, której drugie wydanie drukuje obecnie „Czytelnik" i które ukaże się niebawem, bo śmierć Feldmana przerwała korekty, — daje pojęcie o możliwościach Feldmana, o jego zasługach dla nauki polskiej i narodu.

Pamiętajmy, że już przed wojną Feldman napisał tę pracę i wydał ją. Że działo się to w okresie rozbrojenia moralnego między Polską a Niemcami, Feldman ma zasługę przed Ojczyzną, że w czasach paktu polsko-niemieckiego i prasowej nieagresji, w czasach, gdy nauka polska broniła się tylko przed zarzutami które Niemcy stawiają gorszym od siebie Słowianom, że on jeden udowodnił, jak wygląda stosunek Niemiec do Polski i wybrał najdosadniejszy po temu przykład — Bismarcka.

Tym dziełem Józef Feldman zbliżył się i porównał zasługą ze swoim ojcem".

A gimnazjalistom przypominamy, że ojciec, tj. Wilhelm Feldman był wielkiej miary pisarzem i historykiem literatury.

Zwracamy jeszcze uwagę na nowe pismo teatralne. Są to krakowskie **„Listy z teatru"**, wychodzące pod redakcją Wojciecha Natansona, w miejsce dotychczasowego znakomitego **„Afisza Starego Teatru"**. Pierwszy numer bogato ilustrowany zawiera artykuły Jerzego Szaniawskiego „Kasa teatralna", Ludwika Hieronima Morstina „Jeszcze o Hamlecie Szekspira", Karola Adwentowicza „Teatr", Wilhelma Szewczyka „Spór o Antygonę 1946", Marii Rokoszowej „O teatrze ludowym", Hanny Malewskiej przekład „le jeu d'Adam", pierwszej sztuki francuskiej nieznanego autora z końca XII wieku, kontynuację zapoczątkowanej jeszcze w „Afiszu" ankiety „Jak mówić wiersze" z głosami Flukowskiego i Wład. J. Dobrowolskiego, kronikę zagraniczną i notatki. Wpłaty na prenumeraty przyjmują administracje teatrów krakowskich. **Zby.**

Krótkie spięcia

Stefan Kisielewski chce, dopomina się, domaga, by go traktować poważnie. W każdym niemal popisie harcowniczym uskarża się, że otacza go zmowa przemilczeń, że na jego zarzuty nie odpowiadają, polemik nikt nie podejmuje. Kisielewski łudzi się, że reprezentuje skrajny objektywizm, że dopiero po jego, tak skromnie nazywanych „trzech groszach" — sprawy omawiane uzyskują właściwą wielopłaszczyznowość, pokazują swoje ciemne i niedopowiedziane strony. Długi czas i ja łudziłem się, wierząc, że poza szarżą, radością zajadłego ataku, „rzucaniem niezapalonej zapałki do beczki z benzyną", jak feljetony jego ktoś świetnie określił — kryje się zdrowy rozsądek, że większość jego insynuacyj, napaści ma swój sens społeczny i polityczny, możnaby powiedzieć, że w śmiechu rozładowuje się wiele skrywanych dotąd uczuć nienawistnych.

Ale tak nie jest. Króciutkie kłujące artykuliki nie są wolną trybuną, bo równie wolną trybuną można by nazwać parkany na których pojawiają się swobodne napisy. Kisielewski wyszczypuje drobny okruch i oglądając przez szkło powiększające — „swobód demokratycznych" zaczyna rejtanowskim gestem rozdzierać szaty. Zasłania kciukami oczy i woła — zdrada, mości panowie — ciemność dokoła! Nie będę tu wytykał przykrych ataków osobistych, chwytów nierycerskich, bo mógłbym i ja tę samą taktykę do niego zastosować. Chodzi mi o pewne minimum rzetelności, które od niego wymagamy, zwłaszcza w artykułach, które uważa za „poważne".

W „Tygodniku Warszawskim" atakuje ideologiczną postawę grupy radykalnych katolików redagujących tygodnik „Dziś i Jutro". Oczywiście jak niby lojalnie zaznacza nie pomawia ich o świadomą dywersję w obozie katolickim, ani o skłonność do totalizmu, bo przez tę chorobę już przeszli, ale straszy go widmo Piaseckiego, któremu zupełnie nie dowierza.

Boi się, że W. Bieńkowski, Dobraczyński choć są rzeczywiście katolikami, przez niesprecyzowanie programu reform zbyt idą ręka w rękę ze skrajną lewicą. Kisielewskiemu, z za pleców konserwatywnego „Tygodnika Warszawskiego" czy „Powszechnego" łatwo wymachiwać piórem. **Chciałbym raz usłyszeć od niego coś postulującego, jakiś pozytywny plan przemiany** — prócz szyderczego śmiechu.

Pomijając sprawę uprzedzeń personalnych, uważam że i Piasecki mógł jakąś ewolucję przejść, może nawet zmienił się radykalnie, skoro i takie zmiany dokonały się nawet w ludziach będących dziś członkami rządu, no i w samym P. Kisielewskim.

Widać, że jednak Kisielewski nie czytuje jak się przechwala „Dziś i Jutro" od deski do deski, bo napewno natrafiłby na wskazówki programowe, na stosunek do reform społecznych, no i przede wszystkiem na całą tę problematykę, którą „Dziś i Jutro" podjęło odważnie pierwsze.

A więc postaram się przypomnieć postawę publicystów „Dziś i Jutro" — wobec nowego prawa małżeńskiego i reformy rolnej. Jaką? Jedyną sensowną. To jest — skoro mamy jakiś wpływ na losy narodu wywierać, to nie przez bierne boczenie się, ale przez rywalizację, przez odrębny styl działania, bo chyba konieczność reform na które przystają wszyscy, także P. S. L. — nie podlega dyskusji. Natomiast co do **metod, sposobów i czasu ich przeprowadzenia** można było i trzeba się spierać. I to właśnie „Dziś i Jutro" zrobiło.

Nie chodzi tu o przelicytowanie marksistów, ale choćby o demonstracyjne zaznaczenie, że sprawiedliwości społecznej, zniechęceni próbami dwutysiącletniego naprawienia człowieka, nie odkładamy do ostatecznego wyrównania pozagrobowego, jak to nam zarzuca Żółkiewski. Czy nie zdaje się Panu, że może przyjść taka chwila, że właśnie „Dziś i Jutro" będzie tym pomostem, na który będą się odwoływać inne bardziej konserwatywne ugrupowania katolickie?

A teraz o innych sprawach. Umożliwienie wydawania tego tygodnika i życzliwe ustosunkowanie się Borejszy, jest niewątpliwie zasługą i dowodem dojrzałości politycznej. Czy zwrócił pan uwagę, że w powodzi broszur gloryfikujących AL, wentylujących konspirację, dotąd nie ukazała się ani jedna pozytywna rozprawka o walkach AK? Że właśnie „Dziś i Jutro" pierwsze opublikowało cykl wspomnień bojowców, przywracając właściwe proporcje? Czy rozumie pan to co rozumiał przeciwnik partyjny Borejsza, że raczej niech mówią o wszystkim, niż żeby wydawali podziemną bibułę i jątrzyli społecznie. A że mówią inaczej od centrum katolickiego, choć nazywają się katolikami, że mówią bardziej agresywnie i radykalnie, to świadczy tylko o ich młodości i żywotności. Młodość lubi skrajność, ale lubi też sam najburzliwszy nurt życia.

Dlatego jestem pewny, że oni więcej mogą wpływu pozytywnego wywrzeć, więcej poglądów urobić, niż pan schlebiający drobnym kompleksikom, tym zapiekłym niechęciom, wyłażącym spod serca przeciętnego burżuja, niedzielnego katolika — jak pluskwy spod starej tapety. **wż.**

Dwa głosy czeskie

KULTURA WEDŁUG PARTYJNEGO KLUCZA?

Nikt dotąd z kulturalnego powojennego świata Czechosłowacji nie zdobył się na odwagę wyrażenia swego zdania o politycznej szubie, jaką stosują niektórzy nasi intelektualiści komunistyczni i ich prasa w odniesieniu do garstki autorów i poetów zagranicznych, komunistów. Oczywiście nikt nie może mieć nic przeciw temu, gdy komuniści będą wysławiać i uwielbiać tych zagranicznych literatów czy poetów, którzy walczą pod tym samym sztandarem, bo to właściwie jest jedyną przyczyną wielkiej wrzawy.

Musimy jednakże zastrzec się wobec faktu, by ludzie ci byli gośćmi rządu czy poszczególnych ministerstw, gdyż cały szereg innych pisarzy zagranicznych o znacznie bardziej znanych nazwiskach i znacznie bardziej wartościowym dorobku literackim zasłużył sobie już dawno na taki sam conajmniej wyraz uznania. Oczywiście wielu z nich — to nie komuniści, a to już dla naszych czerwonych „kulturträgerów" wielki kamień obrazy.

Z łamów komunistycznej i zbliżonej w tonie prasy mało orientujący się pisarz mógłby wywnioskować, że największymi i bodaj jedynymi poetami współczesnej Francji są: Tristan Tzara, Paul Eluard i Aragon. Faktem jest natomiast, że współczesna Francja literacka ma na prawdę wielkich młodych poetów, jakimi są (na przykład) Audiberti, taki Pierre Emmanuel, taki Max Pol-Fouchet i wielu, wielu innych, którzy — co do tego nie może być chyba dwóch zdań wśród znawców współczesnej literatury francuskiej — przerastają o trzy głowy Elaurdów czy ostatecznie nawet Tristana Tzarę, który nie może się poszczycić wielkimi sukcesami literackimi. Podobnie jest i z Erenburgiem, publicystą rzeczywiście bardzo wysokiej klasy, który jednakże jako powieściopisarz przechodzi obecnie wyraźny kryzys twórczy i wszystko wskazuje na to, że już jako twórca nie będzie miał nic do powiedzenia.

Z górnolotnych enuncjacji naszych politykujących intelektualistów można by jednak wnosić, że właśnie on jest największym z żyjących powieściopisarzy.

Takich faszystowskich metod uwielbienia i apoteozowania bezkrytycznego w naszej kulturze bynajmniej nie chcemy. Bawił niedawno u nas wielki uczony brytyjski, przyrodnik Geoffrey Crowther — czy czytał kto co o nim w naszej prasie? Bawił także niedawno u nas młody brytyjski poeta i krytyk literacki John Lehman — czytaliście co o nim?

Polityka podwójnej miary — wiemy o tym — nie opłaca się. Tym bardziej w sferze kultury. Tu wymaga się od ludzi konsekwentnego i hartownego niezginania grzbietu. („Obzory" nr. 16)

CZY UJRZYMY FILMY AMERYKAŃSKIE?

Zagadnienie przywozu filmów amerykańskich jest w dalszym ciągu zagadnieniem. Ministerstwo informacji — z jasnych względów politycznych — nie jest bynajmniej zainteresowane w tym, by sprawa ta została załatwiona przyzwoicie. Wiadomą jest rzeczą, że ministerstwo informacji, bez zasięgnięcia czyjejkolwiek opinii, postawiło propozycję tak zwanemu koncernowi Johnsona amerykańskich producentów filmu i że propozycja ta została bezapelacyjnie odrzucona. Główna przyczyna nieporozumienia jest wynikiem umowy, jaką pełnomocnicy filmowi zawarli niezwłocznie po rewolucji, stawiając nawet władze przed faktem dokonanym. Warunkiem tej umowy, obowiązującej i dziś jeszcze, jest między innymi ustęp, że 60% filmów wwożonych do Czechosłowacji będzie sowieckiego pochodzenia. W pierwszym roku mamy otrzymać 100 filmów, ilość ta wzrastać będzie w stosunku rocznym o 5%. Praktyka wykazała, że nie tylko my, lecz i Sowiety nie mogą dotrzymać warunków tej umowy. Sama więc narzuca się myśl modyfikacji w tym sensie, by połowa tej ilości to były filmy pełnowieczorowe, reszta zaś krótkometrażowe, byśmy mogli sprowadzać z Ameryki przynajmniej taką ilość filmów, jak przed wojną. Należy zwrócić się do Moskwy drogą dyplomatyczną, by zgodziła się na zmianę warunków umowy i umożliwiła nam w ten sposób dowóz na nasz rynek i filmów amerykańskich. Społeczeństwo czeskie winno podziękować ministrowi informacji, p. Eblovi i jego pomocnikom, że przez okres całego roku pozbawione było w oswobodzonej republice (z jednym tylko wyjątkiem) oglądania filmów amerykańskich wojennej produkcji.

W ostatnich dniach bawił w Pradze zastępca koncernu angielskiego Kordova, który informował się również o możliwości dalszego przywozu. Także i tu sytuacja nie zapowiada się różowo: dotychczas firmy angielskie — raczej na naleganie brytyjskiej ambasady niż na kierowane od nas zamówienia — przysyłały nam swe filmy. Jasne jest, że tak nadal być nie może. A Ministerstwo informacji bynajmniej nie wykazuje w tym kierunku zbytniego zapału. Trzeba je więc pouczyć, że

maju 1946 roku. („Obzory" nr. 16)

potrzeb kulturalnych nie wolno dzielić na pożądane czy niepożądane ze względów politycznych i że to, co było możliwe w maju 1945 roku, jest nie do pomyślenia w

Redaguje komitet. Red. naczelny: **Wilhelm Szewczyk.** Adres redakcji: Katowice, 3. Maja 36a (II p.), tel. 325-58. Adres administracji: ul. 3. Maja 12. — Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik", ul. 3. Maja 12. Prenumerata miesięczna 28 zł, kwart. 80 zł. Konto czekowe PKO. — III 4960. Druk: Drukarnia nr 9. Spółdzielni Wydawn. „Czytelnik" Katowice, 3. Maja 12. Wydawca. Sp. Wydawn. „Czytelnik". R 23020